ISSN 1896–8678

Hospicjum to też Życie

Partner wydania

KWARTALNIK HOSPICYJNY

2012 (31) 3

- 10. rocznica śmierci ks. Eugeniusza Dutkiewicza SAC
- IX kampania *Hospicjum to też Życie* na starcie
- Port Hospicjum – historia pewnego rejsu

Wyślij SMS o treści POMAGAM pod nr 7279 (koszt 2 zł + VAT)

Środki zebrane z SMS-ów zostaną przeznaczone na:

- zakup leków i sprzętu medycznego dla pacjentów hospicjów i ośrodków opieki paliatywnej

- przeprowadzenie szkoleń dla koordynatorów wolontariatu i pracowników hospicjów

- pomoc dzieciom osieroconym będącym pod opieką hospicjów

Zbiórka prowadzona w ramach kampanii społecznej *Hospicjum to też Życie*

Jak możesz pomóc Fundacji Hospicyjnej?

- **przekaż 1%** podatku dochodowego: KRS 0000 201 002
- **wpłać darowiznę** na konto: 72 1540 1098 2001 5562 4727 0001
- **zostań wolontariuszem**

FUNDACJA HOSPICYJNA

Hospicjum to też Życie

Fundacja Hospicyjna
80-208 Gdańsk, ul. Chodowieckiego 10
tel.: + 48 58 345 90 60

www.fundacjahospicyjna.pl
www.hospicja.pl

W numerze:

Z ŻYCIEM NA TY 2

Mamy czas, czas mamy…
Refleksje o dwoistości natury czasu i tego konsekwencjach w życiu pewnej rodziny, której udało się mimo wszystko zachować harmonię

POROZMAWIAJMY 6

Pro memoriam – w 10. rocznicę śmierci ks. Eugeniusza Dutkiewicza SAC
Ksiądz we wspomnieniach przyjaciół i współpracowników

HOSPICJUM OD ŚRODKA 10

Rejs po nadzieję
„Lądowa" opowieść o wielkiej miłości, która doprowadziła do szczęśliwego portu

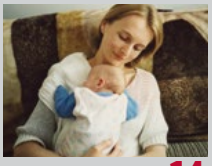

WOLONTARIAT 14

Uczniowie chcą i potrafią pomagać
Szkolny wolontariat oczami nauczycielki przekonanej, że takiej postawy trzeba się uczyć od początku

NASZE AKCJE 15

Idą, idą leśni…
Festyn Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Gdańsku w tym roku z Fundacją Hospicyjną

Wydarzyło się w…
Ważny list do redakcji

Rozmowa potrafi leczyć, rozmowa potrafi zabić
Start IX kampanii *Hospicjum to też Życie*

O problemach komunikacji
Krótkie *exposé* kampanii autorstwa prof. K. de Walden-Gałuszko

Żegnaj lato na rok
FDO podsumowuje wakacje

BIBLIOTEKA FUNDACJI HOSPICYJNEJ 20

Świat bez pamięci
„Opiekunka. Życie z Nancy. Podróż w świat alzheimera" Andrei Gillies

AKTUALNOŚCI 20

„Gościna serca" – słowa pobrzmiewające niegdysiejszą nutą – to motyw przewodni wrześniowego spotkania w Gdańsku z okazji 10. rocznicy śmierci ks. Eugeniusza Dutkiewicza SAC.

Eugeniuszowa gościna serca zawiera w sobie wskazanie, by być uważnym i otwartym na człowieka cierpiącego, by poświęcić mu należny czas i umieć towarzyszyć – słuchać i czytać z jego gestów. Wreszcie poczytywać sobie za zaszczyt, że zostaliśmy wybrani, aby wspólnie i do końca przejść z nim drogę cierpienia, bólu i nadziei.

Czy potrafimy tak zaprzyjaźnić się z chorym?

Współczesny postęp medycyny wyposaża nas w nowoczesne metody leczenia, dostarcza coraz skuteczniejszych leków i wyrafinowanych procedur medycznych. Czy oznacza to jednak proporcjonalny wzrost poziomu empatii i zdolności budowania wzajemnych relacji pomiędzy zespołem opiekującym się chorym a nim samym i jego rodziną?

Kolejna kampania społeczna „Hospicjum to też Życie" stawia sobie za cel przypomnieć ową „gościnę serca", nazywaną współcześnie sztuką komunikacji lub umiejętnością tworzenia relacji interpersonalnych. Przypomnieć i doprowadzić do spotkania człowieka z człowiekiem.

as

FUNDACJA HOSPICYJNA
Hospicjum to też Życie
ISSN 1896-8678

WYDAWCA
Fundacja Hospicyjna
Organizacja Pożytku Publicznego
KRS 0000201002
80-208 Gdańsk, ul. Chodowieckiego 10
tel./fax 58 345 90 60
e-mail: redakcja@hospicja.pl
www.hospicja.pl
www.fundacjahospicyjna.pl
Nr konta: 72 1540 1098 2001 5562 4727 0001

REDAKCJA
Redaktor naczelna: Alicja Stolarczyk
Sekretarz redakcji: Magda Małkowska
Zespół redakcyjny: Joanna Bieganowska, Anna Kulka-Dolecka, Anna Janowicz, Agnieszka Król, Jolanta Leśniewska, Danuta Stopieńska, Olga Woźniak, Justyna Ziętek
Opracowanie graficzne i skład: Jacek Rembowski
Projekt okładki: Jacek Rembowski
Druk: Drukarnia Via Medica
80-180 Gdańsk, ul. Świętokrzyska 73, www.viamedica.pl

PRENUMERATA — BEZPŁATNA
Zadzwoń pod nr 58 345 90 60

Redakcja nie odsyła niezamówionych materiałów i jednocześnie zastrzega sobie prawo do wprowadzenia zmian redakcyjnych w nadesłanych tekstach, w tym do ich skracania. Prawo do używania, kopiowania i rozpowszechniania materiałów dostępnych w „Hospicjum to też Życie" wraz z elementami graficznymi możliwe jest po uprzednim uzyskaniu zgody redakcji i jest obwarowane zastrzeżeniami wynikającymi z przepisów prawa autorskiego.

Mamy czas, czas mamy...

– Czas to jest coś takiego, co umie pływać.
– Pływać?
– Tak, bo dorośli mówią, że czas płynie, a czas po prostu jest.

Fragment audycji radiowej Trójki „Dzieci wiedzą lepiej"

Fot. Grzegorz Dolecki

Niekiedy czas się zatrzymuje

Nasz syn Paweł urodził się z zespołem Leigha – chorobą metaboliczną polegającą na braku w mitochondriach komórkowych energii potrzebnej do prawidłowego funkcjonowania i rozwoju organizmu. Prawdopodobnie każdy, kto styka się z chorobą zagrażającą życiu, swoją lub kogoś bliskiego, w szczególnie dotkliwy sposób uświadamia sobie upływ czasu. Takie wydarzenie sprawia, że choć w pewien sposób czas się zatrzymuje, to jednocześnie zaczynają pojawiać się niepokój, lęk i żal, związane z nieodwracalnością upływających dni. Z powodu postępującej choroby synka bardzo dobrze znam te uczucia. Aby je choć trochę złagodzić i „oswoić", zaczęłam „swojemu" czasowi przyglądać się uważniej.

We współczesnym świecie o czasie słyszymy najczęściej w kontekście sfery biznesu. To jeden z najważniejszych zasobów potrzebnych do osiągnięcia sukcesu. W rzeczywistości nastawionej na przyszłość wysoko cenione są umiejętności planowania i organizacji czasu – niezbędne do efektywnego realizowania celów i rozwoju kariery zawodowej.

Dla mnie jednak, paradoksalnie, temat czasu stał się szczególnie ważny dopiero wtedy, gdy na skutek konieczności opieki nad chorym dzieckiem moje życie zawodowe bardzo zwolniło. Poza sporadycznymi „zrywami", główną przestrzenią przeżywania świata, źródłem zadań i wyzwań stała się dla mnie moja rodzina. Chyba nigdy wcześniej nie doświadczałam czasu tak świadomie i intensywnie jak teraz, podczas drogi przez ocean powtarzalnych dni. Droga ta nie jest jednak jednostajną, niemiłosiernie dłużącą się prostą. Jest podróżą: przez wszystkie dni z Pawełkiem, przez pełne różnych wydarzeń życie naszej rodziny, przez bogactwo świata. Jest wreszcie podróżą w głąb siebie.

Chyba nigdy wcześniej nie doświadczałam czasu tak świadomie i intensywnie jak teraz, podczas drogi przez ocean powtarzalnych dni.

Dwie twarze czasu

Istnienie w moim „życiu mamy" dwóch przenikających się wymiarów czasu uzmysłowiłam sobie, słuchając kiedyś radiowej relacji z podróży na wschód.

Powoli

Podróżnik opowiadał o swoich przygodach związanych ze specyficznym, wschodnim podejściem do czasu. Ludzie w krajach arabskich (ale także w Indiach, Ameryce Łacińskiej, Afryce) żyją w mało zorganizowany sposób i nie cenią sobie robienia planów. Gdy słyszymy od nich: „za chwilę", możemy się spodziewać, że coś nastąpi za kilka minut, ale również za godzinę albo za tydzień, miesiąc lub za rok, a „jutro" może oznaczać każdy kolejny dzień po wschodzie słońca. W tej kulturze czas jest tylko tym, co się dzieje w danym momencie. Ludzie żyją chwilą obecną, a przeszłość, przyszłość czy upływ czasu nie są dla nich istotne. Psycholog społeczny Robert Levine, autor książki „A Geography of Time", przyglądał się różnym narodowościom na całym świecie i wykazał, popierając to odpowiednimi pomiarami, że w tych krajach nawet tempo chodzenia jest dużo wolniejsze niż u przedstawicieli tzw. zachodnioeuropejskiej kultury czasu (Europejczyków, ale też Japończyków czy Amerykanów).

Szybko, sprawnie, zgodnie z planem

Tam (i tutaj, bo dotyczy to również naszego kraju) dominuje szybkie tempo życia. Czas postrzegany jest linearnie – jako linia ciągła, podzielona na krótsze odcinki: dni, godziny, minuty. Czas to pieniądz, zatem liczy się wydajność i szybkość. Jest czas, ale już po chwili: tik, tak, tik, tak – mija on bezpowrotnie. Pragniemy go ujarzmić, więc wyznaczamy sobie kolejne zadania, robimy kilka rzeczy naraz, coraz bardziej przyspieszając. Nawet w języku funkcjonuje wiele określeń, które wprost sugerują, że to człowiek panuje nad czasem. Czas można zyskiwać, oszczędzać, trwonić, marnotrawić, planować, organizować, mnożyć, pożytkować. Większość ludzi w naszej kulturze żyje w poczuciu, że czas płynie za szybko, że jest go za mało, wciąż go na coś nie starcza. On płynie, a my za nim pędzimy. Oszczędzanie czasu polega na wtłaczaniu w dzień coraz większej liczby zadań. Takie podejście wiąże się z życiem według zegara, kalendarza, tworzeniem planów, harmonogramów, list zadań.

Jestem coraz lepsza w robieniu kilku rzeczy naraz i doprowadzaniu każdej z nich do końca. Niczym profesjonalna asystentka prezesa Pawła dbam o to, aby wszystko chodziło jak w dobrze naoliwionej maszynie.

Owe dwie kulturowe koncepcje czasu to oczywiście duże uproszczenie. Wszędzie są ludzie, którzy żyją powoli, delektując się chwilą obecną, i tacy, dla których doba jest zawsze za krótka. Niezależnie od miejsca zamieszkania na kuli ziemskiej, pierwszych psychologowie określają mianem zanurzonych w czasie, „in time", przeciwstawiając im tych, którzy przez czas pędzą – „through time". Zatem tempo życia jest nie tylko kwestią kulturową, ale także indywidualną. Co więcej, w życiu każdego z nas obecne jest i szybkie, i wolne tempo. Różnimy się tylko rozłożeniem proporcji.

Fot. Anna Kulka-Dolecka

Dwaj bracia, dwa różne światy, jeden czas...

Dwa wymiary czasu mamy

A teraz, na kilka minut, które wystarczą do przeczytania tego tekstu, zapraszam do mojego czasu.

Mama europejska i biznesowa – mama w pędzie

Kiedyś pomyślałam, że chociaż przez zrządzenie losu żyję trochę na uboczu współczesnego, pędzącego, biznesowego świata, to sposobem codziennego funkcjonowania całkiem nieźle wpisuję się w jego konwencję. Mój czas jest świetnie zorganizowany – może lepiej niż u niejednego przedstawiciela handlowego. Dotyczy to zresztą również czasu mojego wspólnika – pozostając przy terminologii biznesowej, a w prostych słowach – kochanego towarzysza życia, męża Grzesia. Dopracowany w szczegółach porządek dnia to konieczny warunek sukcesu, czyli w miarę sprawnego działania naszej rodziny. Muszą być w niej zaspokajane zarówno potrzeby aktywnego, towarzyskiego czwartoklasisty, jak i lubiącego zabawki i książeczki pięciolatka, który samodzielnie nie może przekręcić nawet głowy, a oddychanie jest dla niego trudną sztuką. Na potrzeby rodziców też jest miejsce, co udaje się przy odrobinie szczęścia, a może właśnie dzięki dobrej organizacji.

Dylemat, czym wypełnić czas dnia, mnie nie dotyczy. Samo życie zatroszczyło się o to, abym w tej kwestii nie miała rozterek. Co więcej – nie muszę stosować sztuczek motywacyjnych, aby trwać konsekwentnie przy swoim harmonogramie. Każdy z jego punktów ma „życiowe" znaczenie.

Grafik związany z opieką nad Pawełkiem nie daje zbyt wiele swobody. Doba wypełniona jest ciasno mnóstwem zajęć, od których nie ma wakacji ani świąt. Dzień zaczyna się około 7.00 rano – pierwszym odsysaniem synka i przewijaniem po nocy. Na dobry początek dnia otrzymuję wówczas od Pawełka porcję uśmiechów. O 8.00 podaję mu pierwsze leki według rozpiski i zaczynam cały poranny rytuał – inhalacje, drenaże, mycie, ubieranie. Pomiędzy tymi czynnościami jakoś udaje mi się doprowadzić siebie do porządku. Przychodzi pora na śniadanie Pawła – karmienie przez sondę kaszką z poranną dawką leków. Machina codziennych obowiązków toczy się ustalonym torem, aż do późnego wieczora. Kolejne posiłki, inhalacje, oklepywania, wizyty pracowników hospicjum, rehabilitantów…

Ten Pawełkowy harmonogram jest czymś w rodzaju stałego szkieletu, rusztowania, wokół którego oplecione jest normalne życie naszej rodziny – dzieciństwo starszego syna Kuby, spotkania ze znajomymi, praca, wyjazdy, zakupy, prace domowe, filmy, książki, spotkania rodzinne, moje studia podyplomowe, wszystko…

W porównaniu z czasem „przed Pawełkiem" zdecydowanie poprawiłam swoje umiejętności organizacyjne – jestem coraz lepsza w robieniu kilku rzeczy naraz i doprowadzaniu każdej z nich do końca. Niczym profesjonalna asystentka prezesa Pawła dbam o to, aby wszystko chodziło jak w dobrze naoliwionej maszynie. Umawiam jego spotkania z lekarzem, pielęgniarką, przedszkolanką, rehabilitantami, wolontariuszami, a nawet z fryzjerką. Monitoruję stan magazynowy leków, pieluch, cewników, strzykawek, filtrów do ssaka, chusteczek lub kremów. Podejmuję strategiczne decyzje w sytuacjach kryzysowych: czy podać tlen, lek przeciwgorączkowy, czy dzwonić po lekarza. Spotykam się z przedstawicielami handlowymi i zamawiam sprzęty do rehabilitacji i codziennego funkcjonowania. Wykonuję telefony i zapełniam kalendarze. Dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, wiosna, lato, jesień, zima.

Mama medytacyjna – mama zen

Aby pęd życia, nawet bardzo trudnego, nas nie przytłoczył, musimy mieć parę chwil na zatrzymanie się i zanurzenie w czasie. Taki czas na bycie tu i teraz, na doświadczanie bardziej siebie niż świata zewnętrznego i nawiązywanie kontaktu z sobą samym jest niezwykle potrzebny. Chociażby po to, abyśmy wiedzieli, gdzie jesteśmy i dokąd zmierzamy, ale też po to, żeby nie zachorować. No i nie zwariować… Jest potrzebny każdemu, choć nie każdy go ma, nie każdy ma okazję, aby nie biec. Moja okazja, aby nie biec, ma na imię Pawełek. Czasem myślę, że ten chłopiec, który leży i patrzy, jest moim prywatnym mistrzem zen.

Zwolniony film, ujęcie pierwsze: siedzimy sobie razem na kanapie. Paweł na moich kolanach, przytulony. Ja czytam książkę, Paweł oddycha. Czytając, wsłuchuję się w rytm jego oddechu, który rzadko jest tak cichy i spokojny.

Zwolniony film, ujęcie drugie: Paweł długo patrzy mi w oczy. Jego spojrzenie zaczyna się zmieniać, zaczyna być figlarne. Już wiem, co zaraz będzie. Podnosi się jeden kącik jego ust. Na buzi rozkwita mu słodki uśmiech.

Zwolniony film, ujęcie trzecie: cały salon obstawiony jest specjalistycznymi zabawkami i pomocami do komunikacji alternatywnej. Razem z Beatką – przedszkolanką odwiedzającą nas w domu, stoimy przed Pawłem, który siedzi w swoim foteliku z ręką na specjalnym włączniku. Gdy Paweł poruszy palcem, sam uruchomi szczekającego i chodzącego pieska, połączonego kablem z włącznikiem. Czekamy. Czekamy. Czekamy. Czekamy. Piesek zaczyna wściekle piszczeć, szczekać i poruszać się po stole. Dwie dorosłe kobiety zaczynają skakać po pokoju i dziko wiwatować.

Raz ktoś mnie zapytał, czy jak wychodzę na spacer, kawę, do kina albo wyjeżdżam gdzieś na parę dni, to w ogóle potrafię odpocząć i nie myśleć o tym, co w domu. Potrafię: mam wrażenie, że kiedyś w ogóle nie wyobrażałam sobie, jak wspaniały może być odpoczynek, że można się nim delektować niczym najwykwintniejszym daniem. Świadomie chłonę każdą chwilę przejażdżki na rowerze, koncertu, spotkania, wieczornej lektury w uśpionym już domu. Cieszą mnie małe rzeczy i krótkie chwile. Swoją drogą to ciekawe, że mówimy: „spędzać" czas wolny. Tak, jakby nawet w wolnym czasie trzeba było pędzić.

Fot. Anna Kulka-Dolecka

Pawełek – poranny rozdawacz mądrych spojrzeń i słodkich uśmiechów

Wiele czynności przy chorym dziecku trzeba powtarzać dzień po dniu, czasem całymi latami. Karmienie przez sondę, masowanie, odsysanie, przewijanie. Jeśli wykonywane są one automatycznie albo traktowane jak kierat, w poczuciu własnej krzywdy, może się zdarzyć, że człowiek zostanie więźniem sytuacji, w której się znalazł, przykuty na stałe do swojego dziecka. Te same czynności, wykonywane uważnie, z akceptacją, mogą stać się okazją do wyciszenia i doskonalenia się w byciu tu i teraz. Kiedyś, w jakiejś czytanej przeze mnie książce o radzeniu sobie ze stresem i świadomym życiu, autor proponował praktykowanie uważności przy wykonywaniu prostych, codziennych czynności, na przykład medytację przy obieraniu ziemniaków lub medytację przy zmywaniu naczyń. No więc, idąc tym tropem: medytacja przy masowaniu nogi, medytacja przy wycieraniu po kąpieli, medytacja przy oklepywaniu… Robiąc to wszystko uważnie i w skupieniu, można nawiązać kontakt z takimi swoimi dobrymi uczuciami, jak miłość, czułość, empatia, współodczuwanie z dzieckiem.

Moja okazja, aby nie biec, ma na imię Pawełek. Czasem myślę, że ten chłopiec, który leży i patrzy, jest moim prywatnym mistrzem zen.

(Ponad) Czasowa harmonia

Bycie z chorym dzieckiem zarówno podkręciło tempo mojego życia, jak i dosłownie zmusiło mnie do zatrzymania się. A najważniejsze jest to, że te dwie rzeczywistości wcale się nie wykluczają. Wręcz przeciwnie, każda z nich w jakiś sposób uzupełnia tę drugą i nadaje jej sens. W jaki sposób?

Jak uczą podręczniki zarządzania sobą w czasie oraz trenerzy osobiści, plany i harmonogramy nie są sztuką dla sztuki. Planujemy, organizujemy i jesteśmy systematyczni po to, by osiągać cele. Ludzie potrzebują ich wyznaczania, a potem do nich dążenia. Cel pobudza do działania, jest źródłem satysfakcji i poczucia własnej wartości. Dla mam będących ze swoimi ciężko chorymi dziećmi najważniejsze jest zapewnienie swojemu kochanemu synowi lub córce jak najwspanialszej opieki i najlepszych warunków oraz ograniczenie do minimum niedogodności i cierpień związanych z chorobą. Skąd jednak wiadomo, że cel został osiągnięty? Przecież pielęgnacji, troski, miłości nigdy nie jest dość… A jeśli, tak jak w przypadku mojego syna, choroba postępuje, wciąż przybywają nowe wyzwania i obowiązki, a cel „najlepszej opieki" coraz trudniej osiągnąć?

Bycie z chorym dzieckiem zarówno podkręciło tempo mojego życia, jak i dosłownie zmusiło mnie do zatrzymania się. A najważniejsze jest to, że te dwie rzeczywistości wcale się nie wykluczają.

Fot. Grzegorz Dolecki

Jest życie na czas i jest czas na życie

Jednak bez tego celu, bez światła na końcu drogi, nasz szaleńczy bieg może nam się kiedyś wydać mało znaczącym, beznadziejnym i frustrującym biegiem chomika w kołowrotku. Każdy sam musi ten najważniejszy cel, sens drogi, którą idzie, w sobie odkryć. Ten sens daje siłę do przebrnięcia przez sytuacje, które komuś patrzącemu z boku wydają się niemożliwe do pokonania. I nie chodzi o to, by ów cel nazwać. Czasem, mimo że człowiek głęboko czuje sens tego, co dzieje się w jego życiu, to jednak nie potrafi o tym opowiedzieć, a nawet sprecyzować w myślach. Nie chodzi o to, by sens życia nazwać, ale o to, by go poczuć. Aby to się stało, aby poczuć siebie, trzeba się zatrzymać. Trzeba zwolnić i pobyć trochę w sobie, zamiast w świecie.

Pułapka, w którą wpadamy, jest przekonanie, że aby zyskać więcej czasu, powinno się zwiększyć tempo. Jest to jednak złudne myślenie – czas nie zależy bowiem od nas. Nie zważając na jakiekolwiek nasze starania, on płynie albo po prostu jest. Czasu nie możemy kontrolować. Nie sposób nic z nim zrobić. Możemy jedynie świadomie i mądrze podejmować decyzje dotyczące nas samych w naszym czasie. Panowanie nad czasem nie polega na przyspieszaniu, a na świadomym kontrolowaniu siebie.

Istotne jest, aby obserwować siebie, by nie stać się więźniem harmonogramów i móc w odpowiednim momencie się zatrzymać. Zatrzymać się po to, aby potem iść dalej, z większym poczuciem sensu i celu naszej drogi. A w przypadku mam chorych dzieci (także tatusiów i innych opiekunów) – oprócz sprawnego organizowania się w czasie, które wiele ułatwia, docenić „przymusowe" przystanki rutynowych czynności i potraktować je jako okazje do ćwiczenia uważności i zwyczajnego bycia.

Po prostu mama

Funkcjonuję w dwóch światach i w dwóch wymiarach czasu – tak bardzo od siebie różnych. Oba są mi potrzebne i cieszę się, że mam świadomość istnienia każdego z nich. Znam zasady i potrafię się poruszać w jednym i w drugim z pożytkiem dla siebie. Z jednej strony coraz sprawniej wychodzi mi życie na czas, a z drugiej – coraz bardziej świadomie smakuję czas życia. Mam jednak przeczucie, że najcenniejszą umiejętnością, jaką zdobywam, jest harmonijne łączenie obu tych sposobów funkcjonowania w czasie.

Nie jestem Alicją w Krainie Czarów ani bohaterką „Opowieści z Narni", choć czasem czuję się niczym postać z jakiejś powieści fantasy. Szybko jednak wraca poczucie rzeczywistości – zwyczajnie jestem mamą.

Anna Kulka-Dolecka

PRO MEMORIAM

W 10. rocznicę śmierci księdza Eugeniusza Dutkiewicza SAC

Takich księży jak on było w Polsce niewielu

Ksiądz Jędrzej Orłowski SAC, dyrektor Hospicjum im. ks. E. Dutkiewicza SAC w Gdańsku

Kiedy się poznaliście?
Z księdzem Dutkiewiczem, z Gienkiem, spotkałem się 20 lat temu, jeszcze jako kleryk seminarium w Ołtarzewie. Przyjeżdżałem wówczas do mojego rodzinnego Gdańska na święta czy na wakacje i z oczywistych względów nawiedzałem wspólnotę pallotyńską w Gdańsku Wrzeszczu, przy Curie-Skłodowskiej. Już wtedy widziałem w nim nieprzeciętną osobowość.

Więc to był przypadek? Wcześniej ruch hospicyjny, który pod kierunkiem ks. Eugeniusza rozwijał się w Gdańsku, młodemu klerykowi znany był chyba mało…
Faktycznie wówczas nie miałem za wiele do powiedzenia o hospicyjnej rzeczywistości, ale ksiądz Eugeniusz dzielił się ze mną zarówno swoimi radościami, jak i problemami i powoli zacząłem w nią wchodzić.

Czy można się więc pokusić o tezę, że gdyby nie to spotkanie, droga kapelańska księdza Orłowskiego poszłaby w zupełnie innym kierunku?
Pewno tak, chociaż nie od razu się na niej znalazłem. Swoje powołanie w powołaniu odkryłem dopiero w 2001 roku, kiedy to zostałem skierowany jako wikariusz do Gdańska, do parafii będącej swoistym domem dla przyszłych lekarzy. To był moment decydujący. Wówczas przez rok miałem okazję przebywać z księdzem Dutkiewiczem i Mu pomagać – czy to jeżdżąc do chorych, czy to uczestnicząc w mszach św. żałobnych.

Jaki rys osobowości ks. Dutkiewicza zafascynował wówczas księdza najbardziej. Co sprawiło, że tak mu ksiądz zaufał?
Na pewno przyciągnęła mnie Jego bardzo duża otwartość i życzliwość. Także wielka wrażliwość i okazywane zainteresowanie moimi sprawami. Był dla mnie mistrzem, często dawałem Mu do czytania swoje homilie przygotowywane na niedzielne msze, a On je kreślił, poprawiał, wskazywał błędy i niedociągnięcia. Czasami musiałem wręcz pisać je na nowo.

Tak się uczymy, ale łatwe to nie było.
No nie było, ale ksiądz Eugeniusz bardzo dużą wagę przywiązywał do słowa Bożego – swoje homilie niedzielne przygotowywał cały tydzień. Poza tym był zwyczajnie koleżeński. Na przykład wiedział, że bardzo lubię winogrona i często je od Niego dostawałem. To były drobne, ale wzruszające gesty.

Właśnie chciałam się dopytać o tę część Waszych relacji. Jakim był kolegą?
Oprócz wspomnianej już życzliwości i otwartości przychodzi mi do głowy przede wszystkim Jego wielka rodzinność. Eugeniusz bardzo często mówił o domu i potrafił go w naszej pallotyńskiej wspólnocie stworzyć. Jest w domu parafialnym przy Curie-Skłodowskiej taka sala rekreacyjna, w której każdego dnia wieczorem spotykaliśmy się, by pogadać, podzielić się kłopotami czy pooglądać mecze.

Był kibicem?
O tak, piłka Go pasjonowała. Niesamowicie ważne były też rozmowy na temat najnowszej historii. Ksiądz Eugeniusz był zaangażowany w opozycję demokratyczną i pod pseudonimem Chudy pomagał internowanym oraz pobitym przez tzw. nieznanych sprawców. Poza tym często zadawaliśmy mu różne pytania, i to z różnych dziedzin. Był w naszej wspólnocie wówczas najstarszy, choć miał tylko 54 lata. Lubił, kiedy tytułowaliśmy Go seniorem,

Tak się mówi, Księże Seniorze?
Tak.

W jak licznym gronie spotykaliście się wówczas w tej sali?
Przychodzili właściwie wszyscy, dziesięciu księży.

Pionierskie czasy wymagają hartu ducha i niemałej wytrzymałości fizycznej, by stawić czoła wszystkim przeciwnościom. Ksiądz Eugeniusz dawał radę?
Był człowiekiem bardzo delikatnym, również fizycznie. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie nieśmiałego, wręcz wycofanego. Na początku był raczej obserwatorem, trudno wchodził w relacje. Natomiast cechowała Go niezwykła wrażliwość na każdą ludzką biedę, nie tylko człowieka chorego. Wtedy wstępował w niego lew. Jeśli trzeba było komuś pomóc, uruchamiał wszystkie swoje kontakty. Był dla wielu autorytetem i nie jest tajemnicą, że ówcześni hierarchowie Kościoła gdańskiego uważali księdza Dutkiewicza za swojego powiernika. Powszechnie liczono się z Jego zdaniem. Takich księży jak On było w Polsce niewielu.

Czy z dzisiejszej perspektywy dojrzałego kapelana i doświadczonego hospicjanina dostrzega ksiądz w portrecie ks. Eugeniusz jakieś rysy? Był tytanem pracy, niezwykłym ideowcem, ale i człowiekiem z krwi i kości?
Pamiętam, że jeżeli coś nie wychodziło po Jego myśli, bardzo szybko się denerwował. Szalenie irytowały go małostki polskie, nasze wady narodowe, zwłaszcza kłótliwość.

A zaczęliśmy żyć w kraju, w którym one wyszły z cienia…
Miał świadomość, że o inną Polskę walczył. Myślał, że upadnie system totalitarny i zmieni się wszystko.

Razem z Nim nabrało się wielu.
Potrafił powiedzieć komuś prosto w oczy swoją prawdę, oburzyć się, nawet podnieść głos. Jego słabością była naiwność, która

spowodowała wielkie kłopoty, nagonkę prasową i procesy sądowe.

A jaka cecha księdza Dutkiewicza wybijała się ponad inne?

Głęboka wiara i zawierzenie Panu Bogu. Jeśli nasze wieczorne spotkania się przedłużały, On z nich wychodził, bo następnego dnia odprawiał mszę św. o godzinie 6.30 i musiał być w formie. Był przekonany, że życie chrześcijanina, życie księdza, musi być nierozerwalnie związane z krzyżem…

…i nie może być łatwe.

Dzisiaj istnieje pokusa tzw. chrześcijaństwa bez krzyża, które nie boli i nic nie kosztuje. On wiedział, że takiego chrześcijaństwa nie ma. Był zafascynowany Janem Pawłem II i często przytaczał Jego słowa z pierwszej pielgrzymki do ojczyzny: „Człowiek jest drogą Kościoła". Służyły Mu za motto Jego wizji wspólnoty Kościoła.

Wokół siebie siał dobroć

Janina Suchorzewska, emerytowany kierownik Katedry Anestezjologii i Intensywnej Terapii Akademii Medycznej w Gdańsku, kurator Zakładu Etyki

Będzie mi trudno o Eugeniuszu mówić. Nie umiem opowiedzieć tego, co czuję. Nas łączyły nieprawdopodobne więzy…

Ile minęło już lat od Waszego pierwszego spotkania?

Około 37. W 1975 roku zaczął przychodzić jako kapelan do gdańskiego szpitala akademickiego, w którym pracowałam.

Był wtedy bardzo młodym człowiekiem.

I bardzo nieśmiałym. To były czasy, kiedy obecność księdza na terenie państwowej placówki zdrowotnej nie była przyjmowana z entuzjazmem. Eugeniusz zawsze do „Niech będzie pochwalony…" dodawał: „Czy mogę?". Nigdy nie był tego do końca pewien. Wciąż jakby przepraszał, że przychodzi i zaburza tok pracy. Korytarzami szpitala dosłownie się przemykał. Jednak u nas, na oddziale intensywnej terapii, szybko znalazł swoich ogromnych zwolenników, nawet przyjaciół.

Czy zwracał uwagę czymś szczególnym?

Od razu było dla nas oczywiste, że nie jest to osoba formalnie zobowiązana do duszpasterstwa w szpitalu. Był nietypowy. O chorych chciał wiedzieć wszystko, zainteresowany był najdrobniejszymi szczegółami dotyczącymi stopnia zaawansowania ich choroby i szansami na przeżycie. Dopytywał się o rodziny pacjentów, którzy przecież w większości przypadków byli nieprzytomni.

Pytał się pielęgniarek?

Tak, one były najbliżej chorego. I, co ważne, Eugeniusz przychodził do pacjentów, ale także do personelu. Dla pielęgniarek zawsze miał 15-20 minut. Kiedy tylko któraś była wolna, przygotowywała mu kisielek, by znowu nie biegał na czczo parę godzin po szpitalu. Widać było, że jednej i drugiej stronie te bliskie kontakty były bardzo potrzebne.

W jaki sposób zdobywał zaufanie?

Jemu się po prostu wierzyło. Mówiliśmy Mu wszystko – o naszych kłopotach i troskach. Kiedy nie potrafiliśmy udzielić wystarczającej pomocy rodzinom pacjentów, posyłaliśmy tam Eugeniusza. A On zapraszał do kościoła, na mszę. Uważał, że to jest wsparcie, którego On może udzielić. Tak rozumiał swoją kapłańską posługę.

Trwało to parę lat i wreszcie przeszło na lata osiemdziesiąte.

Tak, potem nasze kontakty miały już inny charakter. Pamiętam, jak w czasie stanu wojennego trzeba było wydostać ze stoczni doc. Lecha Buczkowskiego, doradcę robotników. Sam chory ciężko na serce musiał zostać stamtąd wywieziony i ukryty. Był na liście poszukiwanych przez ówczesne władze. Pierwszy adres, pod którym go umieściliśmy, uzyskałam w kaplicy ojców pallotynów właśnie od Eugeniusza.

Jakim był kapłanem?

Innym. Pamiętam pewne młode studenckie małżeństwo. Ona poroniła w 5. miesiącu ciąży i oboje bardzo chcieli pochować dziecko. W tamtych czasach jednak płody nie były traktowane z szacunkiem, wszyscy księża odmawiali. Eugeniusz zgodził się natychmiast.

Jak ocenia Pani prowadzone przez księdza msze św.?

Jego homilie były bardzo trudne. Była w nich głęboka duchowość i wspaniałe przenośnie. To był niezwykły kaznodzieja, ale niełatwy. On łatwo mówił tylko do małych dzieci na słynnych mszach o 11.00.

Wspomina Pani jakieś radosne chwile z udziałem księdza?

Mieliśmy wspólnych przyjaciół, u których się często spotykaliśmy. Także w Sopocie – u ich mamy, starszej pani, Eugeniusza wręcz ubóstwiającej. Ona Mu tu na Wybrzeżu matkowała. Pamiętam, że raz przyniósł Jej w prezencie różową nocną koszulę. Była osobą schorowaną i wiele czasu spędzała w łóżku. Eugeniusz narzucił sobie wtedy na sutannę to różowe cudo i tańczył ze starszą panią, śmiejąc się: „Zobacz, jak dobrze wyglądam w tej koszuli. Ale Ty będziesz wyglądać dużo piękniej". Wciąż mi stoją przed oczami, jak tak razem tańczą.

Czy wciągał Was w swoje problemy?

Raczej nie, chociaż może jeden raz. Zdarzyło Mu się spędzić 24 godziny w areszcie i bardzo to przeżył. Pamiętam, przyszedł wtedy do mnie do kliniki i powiedział znamienne słowa: „Ja jestem słaby człowiek. Boję się, że jeżeli mnie na dłużej tam wezmą, ja tego nie wytrzymam". Nie jest łatwo powiedzieć takie słowa o sobie, zwłaszcza jeśli ma się markę bohatera. A myśmy tak o nim myśleli, musiał czuć ten nasz szacunek. Ale już kiedy budował hospicjum i nawarstwiały się kłopoty, nie chciał mi się z nich zwierzać. On myślał, że wokół niego jest dobroć, a to on wokół siebie siał dobroć. Dając siebie, bardzo się spalał i napotykał na zło. Nie chciał o tym mówić.

Wiedzieliście, że jest chory?

Eugeniusz był bardzo słabego zdrowia, ale myśmy nie rozpoznawali jego choroby serca. Nikt z nas nie może sobie tego darować. On z kolei zawsze był przy nas. Kiedy przechodziłam trudny czas – życie mojego syna było zagrożone i operowaliśmy go za granicą – też był. Eugeniusza wciągaliśmy we wszystkie nasze troski, natomiast nie byliśmy przy Nim, kiedy sam nas potrzebował. Na wiadomość o Jego śmierci doznałam szoku. Zwłaszcza kiedy dowiedziałam się, że nikogo z nas przy nim nie było. Ale On wciąż w jakiś sposób jest, przynajmniej ze mną.

„. . . nie jesteście księgowymi Pana Boga”

Elżbieta Ruta, mgr pielęgniarstwa, prezes Stowarzyszenia Opieki Hospicyjnej Powiatu Pabianickiego, konsultant wojewódzki w dziedzinie pielęgniarstwa, opieki paliatywnej dla województwa łódzkiego

Od którego roku jest Pani pielęgniarką hospicyjną?

Od 1996. Zatrudniona byłam wówczas w izbie przyjęć pogotowia w Pabianicach i widziałam, co się dzieje z naszymi chorymi. Zaczęłam jako wolontariuszka jeździć do ich domów, a pomoc lekarską znajdowałam w Łodzi. Do Pabianic przyjechał wtedy dr Józef Stańczak, który był konsultantem wojewódzkim medycyny paliatywnej i gromadził wokół siebie ludzi chcących posługiwać chorym.

Bo jeszcze wtedy w Pabianicach hospicjum nie było?

Nie, ono powstało 3 lata później. W tamtym czasie raz w miesiącu Caritas łódzki, za pośrednictwem dr Zofii Pawlak, organizował szkolenia, spotkania i skupienia z różnymi osobami związanymi z ruchem hospicyjnym w całej Polsce. Księdza Dutkiewicza poznałam właśnie na jednym z nich, w Szczawinie. To był 1996 albo 1997 rok.

Jakie wywarł na Pani wrażenie?

Człowieka bardzo spokojnego i stonowanego. Był uśmiechnięty, ale w oczach czaiła się troska. Ten Jego uśmiech był taki zamyślony. Wzbudzał zaufanie. Podeszłam do Niego i opowiedziałam o swoich wszystkich problemach, przede wszystkim ze znalezieniem lekarza.

Jeździła Pani do chorych przez parę lat, mimo że administracyjnie hospicjum domowe nie istniało.

Trwało to gdzieś 3-4 lata. Z problemami dzwoniło się do łódzkich lekarzy i pielęgniarek.

Czy mogłaby Pani spróbować opisać rolę, jaką odegrał ksiądz Dutkiewicz w powstawaniu hospicjum pabianickiego?

Przede wszystkim bardzo nas wspierał psychicznie. Mówił, by się nie załamywać, nie ustawać w poszukiwaniach i robić to, co robimy. Po 4 latach rzeczywiście lekarz się znalazł, musiał być jednak przeszkolony. W 2000 roku, podczas konferencji organizowanej przez bonifratrów w Łodzi, spotkałam się z Eugeniuszem i poprosiłam o pomoc. Przy stole, jeszcze przed obiadem wyciągnął komórkę, zadzwonił do Bydgoszczy i tak otrzymaliśmy miejsce na kursie dla naszej pani doktor.

Często się spotykaliście?

Częściej rozmawialiśmy przez telefon, co najmniej 3-4 razy w miesiącu. Czasami wystarczyło, że przedstawił mi sprawy w innym świetle. Nasza grupka była osamotniona – ani ze strony przełożonych, ani ze strony samorządu nie było wówczas chęci pomocy. Te rozmowy bardzo mnie umacniały.

Czego dotyczyły?

Przede wszystkim organizacji placówki. Problemy się mnożyły. Kiedy w 1999 roku powstało Stowarzyszenie Opieki Hospicyjnej Powiatu Pabianickiego oraz Niepubliczny Zakład Opieki Paliatywnej i czekałyśmy na podpisanie kontraktu z Kasą Chorych, ukazała się nieprzychylna notatka o naszej działalności w lokalnej gazecie. Zapytałam się księdza, co mam robić i usłyszałam: „Zostaw to górze, rób swoje, tak jak robisz. W Gdańsku będziemy się za Was modlić”.

Dlaczego darzono Go takim zaufaniem?

Eugeniusz wciąż myślał o innych i to się dawało odczuć. Pamiętam nasze jedno spotkanie na oddziale opieki paliatywnej, w którym uczestniczył również dr Stańczak. Rozmawialiśmy o różnych problemach i wtedy pojawił się młody ksiądz, zaraz po święceniach. Wówczas Eugeniusz zwrócił się do doktora z prośbą, by przyjął tamtego jak syna, bo jest wartościowym człowiekiem i nie można go stracić. I zaraz potem powiedział słowa, których nie jestem w stanie zapomnieć: „Nie stawiaj pielęgniarek na baczność. To są matki i żony, obciążone ze wszystkich stron. Nie traktuj ich jak żołnierzy”.

Z dr. Stańczakiem łączyła księdza Dutkiewicza przyjaźń?

Tak. Kiedy doktor umierał w 2000 roku na nowotwór nerki, Eugeniusz do niego przyjeżdżał. Raz z ołtarza przytoczył nam słowa umierającego przyjaciela: „Nam, służbie zdrowia, wydaje się, że wszystko wiemy, a my gówno wiemy!”. To zdanie wciąż mam w uszach.

Jakim był księdzem?

Pełnym pokory wobec drugiego człowieka, szanującym do końca jego wolność. Na jednym ze skupień powiedział: „Zapamiętajcie sobie, nie jesteście księgowymi Pana Boga i nie miejcie za cel przyprowadzenie na siłę księdza do osoby umierającej”. Był zatroskany o konających, o ludzi im posługujących i wielokrotnie podkreślał, że dla chorego i jego rodziny trzeba mieć czas. My nie możemy wpaść i zrobić wiatr. Przekonywał, że czasami trzeba po prostu usiąść i nic nie mówić. Wtedy to były nowe, ważne rzeczy.

A gdyby nie spotkała Go Pani na swojej drodze…?

Byłoby bardzo trudno. Miałam przecież mnóstwo dylematów i wątpliwości, a on je rozwiewał. Parę razy próbowałam się wycofać. Nie jest łatwo brnąć przez administracyjne zasieki, ale Eugeniusz zawsze mnie wspierał i prosił: „Rób swoje”. Bardzo mi Go brakuje. Czasami spoglądam w górę i proszę, byśmy nie zaprzepaścili tego, czego On nas nauczył.

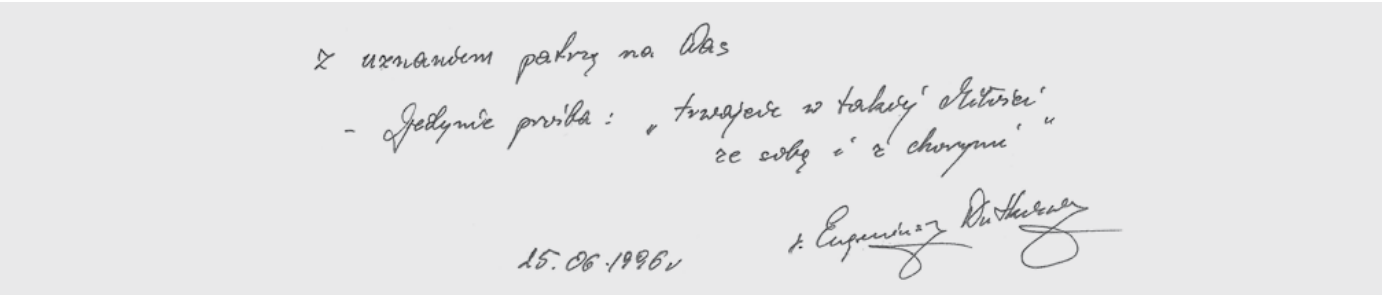
Z uznaniem patrzę na Was
- Jedynie prośba: „trzymajcie w takiej Miłości
ze sobą i z chorymi”
25.06.1996 r. ks. Eugeniusz Dutkiewicz

Wpis ks. Eugeniusza Dutkiewicza SAC do Kroniki Zakładu Opieki Paliatywnej w Łodzi

Otulał nas swoją serdecznością

Marianna Lorenc, religioznawca i archeolog

Ksiądz Dutkiewicz był pierwszym księdzem w Twoim życiu, regularnie przychodziłaś na jego Msze, a on z kolei często do Twojego domu.

Nasza rodzina funkcjonowała w orbicie kościoła na Curie-Skłodowskiej. Kiedyś rodzice próbowali nas prowadzać na inne msze dla dzieci, ale nie mam z nich żadnych wspomnień.

Czy jakieś jedno wydarzenie, związane z osobą księdza Dutkiewicza, utkwiło Ci w pamięci szczególnie?

Byłam wówczas za mała i nie zakodowałam żadnej Jego kwestii, raczej parę obrazów i scen. Zapamiętałam Go jako bardzo wysokiego człowieka, On był wyższy niż mój tata!

A Tata to wzorzec metra…

Tak, ksiądz wydawał mi się ponad ludzką skalę. Najczęściej przychodził w sutannie, był niezwykle szczupły i kiedy pochylał się, by mi powiedzieć dzień dobry, tworzył nade mną taki baldachim, jak w angielskich łożach. Dosłownie zginał się w pół i mówił: „Cześć moje słoneczko". Potem w pamięci ułożyło mi się to z jedną z pasterek, przed którą Ksiądz Eugeniusz poprosił mojego tatę, by wymyślił jakąś specjalną dekorację, a mnie – bym zaśpiewała. Tata wpadł na wspaniały pomysł, że przyozdobi sklepienie kościoła gwiazdami. Wyskrobał je na slajdach, a potem ustawił projektory tak, że rzucały światło na sklepienie. Wrażenie było niesamowite, pamiętam dobrze, choć miałam wówczas 5-6 lat. To sklepienie robiło na mnie podobne wrażenie co sutanna księdza Eugeniusza, takie baldachimowate. Niby dostojne, a jednak bliskie. A ja miałam śpiewać kolędę, pod tym „niebem", w obecności tylu ludzi. Nawet zaczęłam, ale zabrakło mi tchu. Moja mama od razu podbiegła i dokończyłyśmy już śpiewać razem. Ksiądz zmienił wtedy swoje kazanie, zaczął mówić o relacjach matki i dziecka, jej roli we wprowadzaniu go w świat. W trakcie tamtej pasterki ksiądz podszedł do mnie i przytulił, jak wielki ptak dający poczucie bezpieczeństwa.

Było dla niego ważne, więc sam je dawał.

Teraz, już jako osoba dorosła, myślę, że na tej pasterce, ale zwłaszcza podczas mszy św. dla dzieci czerpał z relacji z nami poczucie bezpieczeństwa, przynosiliśmy Mu wytchnienie. Wydaje mi się, że ksiądz czerpał ze spotkań z dziećmi siłę potrzebną Mu do spotkań z innymi ludźmi, zwłaszcza tymi chorymi.

Zatrzymajmy się przy mszach dla przedszkolaków. Odprawiane są one w wielu kościołach, z mniejszym lub większym talentem. Na czym polegała wyjątkowość coniedzielnych spotkań u księdza Eugeniusza? Miał je wpisane w zakres obowiązków, czy rzeczywiście umiał mówić językiem dzieci?

Umiał, naprawdę. Jeśli były obowiązkiem, to narzuconym przez Niego samego.

Kiedy się już dorośnie, umiejętność rozmowy z dziećmi jest sztuką nieoczywistą.

Tak, zwłaszcza nieuderzanie w ton infantylny. Ksiądz nie unikał trudnych pytań, ale i sam je stawiał. Pamiętam, że na jakiejś mszy zadał nam pytanie o znaczenie słowa Amen. On zawsze skupiał się na znaczeniu słów, miał lingwistyczne podejście do 4-5-latków. To był ewenement. Chociaż ja wyszłam z takiego domu, w którym dzieci też traktowano poważnie, jak partnerów.

Więc na mszach księdza nie odczuwałaś dysonansu?

Nie. Kiedy przychodził do naszego domu, z dziećmi odbywał rozmowy jak równy z równym.

Czy pamiętasz jakąś z nich?

Jedną. Miałam chyba 7 lat, rozmawialiśmy o mszy św., o tym, co ksiądz podczas niej robi. Przyznałam się, że zauważyłam, iż kiedy inni klękają i opuszczają głowy, to ksiądz robi to i to: podnosi ręce, kłania się... Opowiedziałam mu ze szczegółami, a On podjął rozmowę tonem, jaki przybrałby wykładowca do studenta, wszystko mi dokładnie wytłumaczył.

Nie zwrócił uwagi, dlaczego podglądasz?

No właśnie nie. Uznał, że skoro coś zauważyłam, trzeba mi to wyjaśnić. Ksiądz uczestniczył często w naszych posiłkach, a podczas nich w moim domu rozmawiano. O literaturze, o polityce, o społeczeństwie, nigdy o kotlecie. Takich rozmów nie pamiętam. I ksiądz Eugeniusz podobnie nigdy nie trywializował.

U każdego człowieka pierwsza biblioteka znajduje się w jego domu. Tworzą ją także domowe rozmowy o książkach. U Ciebie była ona przebogata. Spotkania z księdzem wpisywały się więc w Twoje naturalne środowisko.

Rzeczywiście człowieka tworzy to, co dostaje od środowiska, w którym dorasta, a Ksiądz Eugeniusz był częścią mojego. Należał do mojej najściślejszej ojczyzny. Jego moc formacyjna była większa, niż można by było przypuszczać. Ustawiczne poszukiwanie semiologii życia wzięło się we mnie od Niego.

Ufałaś Mu?

Dziecko podchodzi do świata z wielką rezerwą. Ksiądz Eugeniusz był obcy, nie należał do mojej rodziny, ale nauczył mnie podejścia Emanuela Lévinasa. Patrząc obcemu w oczy, komunikujesz mu: „Ty mnie nie skrzywdzisz". To była filozofia zaufania.

Wytrącania oręża…

Trochę tak. Takim zaufaniem rozbrajasz. Jest to może podejście ryzykowne, ale z perspektywy dziecka nabranie tego zaufania jest bardzo istotne. Poza tym On wprost otulał nas swoją serdecznością, do tego miał wielki dar. Przecież musiał być samotny. Oczywiście nie w relacjach z Bogiem, ale z innymi ludźmi.

Śmierć księdza Cię zaskoczyła. Byłaś już wtedy dorosła, na studiach w Krakowie…

Ksiądz Eugeniusz był księdzem mojego dzieciństwa. Nie widziałam się z nim bardzo długo, a umarł w tym samym miesiącu co mój dziadek. Dobrze pamiętam ten dzień. Już wtedy spotykałam się z moim obecnym mężem. Nie było mnie na stancji i to Paweł odebrał wiadomość o śmierci Księdza. Pamiętam, że przygotował jabłka z miodem i orzechami, chciał mi jakoś osłodzić życie. Kiedy powiedział, co się stało, poczułam straszny żal, że już się z Księdzem nie spotkam. Tych jabłek nie dałam rady zjeść.

Rozmawiała Magda Małkowska

Fot. Joanna Perycz-Szczepańska

Rejs po nadzieję

Czasem w marzeniach płynę okrętem. Przypominam sobie zapach morza, uczucie wolności. Ale szybko powraca myśl, że teraz moje najpiękniejsze marzenie ma na imię Szymon. To dzięki niemu wyruszyłam w najważniejszy rejs mojego życia, jako mama niepełnosprawnego dziecka. Rok temu musiałam zdjąć mundur oficera Marynarki Wojennej, ale w naszym wspólnym życiu powitałam nowy rozdział. Po latach sztormów i samotnej walki zawinęliśmy z synkiem do bezpiecznego portu. Jest nim nasze Hospicjum. A ja nie jestem już żołnierzem. Jestem mamą hospicyjną.

Odwiedziła nas nowa pielęgniarka, która po zmianach organizacyjnych będzie opiekować się moim dziesięcioletnim synkiem. Spędziła u nas sporo czasu, chcąc poznać historię nowego pacjenta. Rozmawiałyśmy kilka godzin. Pomimo zmęczenia po nocnym dyżurze, miała uśmiechnięte oczy. Wspomnienia przemknęły jak film. Czasami dramat, czasami thriller. Czasy pobytu na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej Noworodka, długa droga poprzez kolejne oddziały szpitalne, której szczęśliwym finałem stała się przynależność do gdańskiego Hospicjum Domowego im. ks. E. Dutkiewicza SAC.

Zanim zostałam mamą hospicyjną, przez dziewięć lat byłam mamą szpitalną. Oznacza to, że zarówno moje macierzyństwo, jak i dzieciństwo mojego synka toczyło się w salach szpitalnych, w szpitalnych korytarzach, w pokojach przyjęć, w salach zabiegowych. Tam zrodziła się miłość w najczystszej postaci, silniejsza od śmierci, nieoczekująca zwykłych doczesnych gratyfikacji pod postacią pierwszych kroków, pierwszych słów, szóstek w szkole, dobrze zdanej matury. Kiedy patrzyłam na własne dziecko podłączone do urządzeń podtrzymujących życie, te sprawy raz na zawsze straciły znaczenie. Liczył i dalej się liczy tylko fakt istnienia.

Wyruszam w morze

Szymek urodził się w dwudziestym siódmym tygodniu ciąży. Był całkowicie nieprzygotowany do podjęcia samodzielnych czynności życiowych. Natychmiast po porodzie wymagał resuscytacji i podłączenia do respiratora. Noc poprzedzającą jego przyjście na świat spędziłam pod aparatem KTG. Zdawało mi się, że jadę pociągiem. Stukot urządzenia mierzącego tętno mojego dziecka unosił mnie w daleką podróż. Wiedziałam, że nie mogę płakać i muszę oddychać. Zmobilizowałam do tego wszystkie zapasy silnej woli, wszelkie ślady kobiecej siły

odziedziczonej po prababciach, które w dawnych czasach traciły dzieci z powodu zwykłych infekcji, ponieważ nie było antybiotyków. Traciły dzieci z powodu gruźlicy, na wojnach. A kochały je tak samo mocno, jak ja kochałam swoje nienarodzone dziecko. Więc musiały mieć nadludzkie moce do niesienia takiego bólu… Kilka godzin wcześniej lekarz w pokoju przyjęć zapowiedział mi, że moja ciąża zostanie rozwiązana za pomocą cesarskiego cięcia i że dziecko nie przeżyje, bo jest za małe. Siłę, by przetrwać te godziny, musiałam czerpać już nie z własnej nadziei, której zostałam pozbawiona, ale ze wspólnoty losu, mądrości pokoleń. Z czegokolwiek. „Pani Aleksandro, proszę się obudzić. Ma pani syna" – usłyszałam nazajutrz, jeszcze na stole operacyjnym. „Jak on się czuje?" – wydusiłam. „Dobrze. Trzeba tylko uważać, żeby nie dostał infekcji". Targnęła mną fala długo powstrzymywanego płaczu. Wiedząc, że już nie zaszkodzę dziecku, słuchałam własnego szlochu, jak gdyby płakał ktoś inny. „Jeśli Szymon przeżyje, będzie potrzebował bardzo dużo miłości. Najprawdopodobniej będzie niepełnosprawny" – powiedział neonatolog, który ratował moje dziecko. Pomyślałam: „Z miłością nie będzie żadnego problemu".

W tamtym czasie odkrywałam, jak być mamą w tak beznadziejnych okolicznościach.

Pierwsza wizyta na OIOM-ie Noworodka. Pokazano mi maleńką istotkę w plątaninie rur i kabli. Obok stały nieznane urządzenia wydające groźne dźwięki. Mój synek był śliczny, ale przypominał starego, zmęczonego życiem człowieka. Jego skóra była przeźroczysta, widać było przez nią kruche żyłki i obszary fioletowych wylewów. W pierwszej chwili pomyślałam, że wygląda jak utrudzony wędrowiec. Pozwolono mi go dotknąć, ale bałam się, że zrobię mu krzywdę. Z jednej strony wiedziałam, że to moje dziecko, a z drugiej czułam, jakby należał on do innego, niedostępnego dla mnie świata. Prowadził pełne tajemnic, osobne życie; wiedział więcej niż ja, ponieważ właśnie przeżywał to, co czeka nas pod koniec życia. Jego losy się ważyły, ale nie byłam pewna, kto podejmie decyzję: on sam czy Bóg. Ja byłam bezsilna.

Pierwszy sztorm

W ciągu następnych kilku dni u Szymona doszło do krwawienia śródczaszkowego IV stopnia i zapadł w śpiączkę. „Pani syn umrze, to kwestia godzin, ewentualnie dni. Czekamy tylko na to, kiedy rozmięknie pień mózgu. Dziecko już nie jest leczone, podajemy mu tylko leki przeciwbólowe, dbamy o jego komfort. Dla pani to lepiej, że odejdzie teraz, bo jeszcze go pani nie zna".

Chrzciny odbyły się na OIOM-ie. Nie było chrzestnych rodziców, białego ubranka, pamiątkowych drobiazgów. Tylko ksiądz kapelan, ja i mój synek. Była moja radość, bardzo intensywne uczucie radości. I wdzięczność. Po hebrajsku „Szymon" znaczy: „Bóg wysłuchał". Ale jeszcze wtedy tego nie wiedziałam.

Kolejne dni nauczyły mnie niczego nie chcieć dla siebie. Nauczyłam się nie zaglądać z zazdrością do sąsiednich inkubatorów z samodzielnie oddychającymi dziećmi, o których pielęgniarki mówiły: „Z niego coś będzie…". Nigdy wcześniej ani nigdy później nie udało mi się osiągnąć takiego stanu pogodzenia. Pozwoliło mi to skoncentrować się na bieżącej chwili.

Najtrudniej było po raz pierwszy wypowiedzieć na głos słowa „kocham cię" tak, aby synek je usłyszał, w scenerii pracujących urządzeń podtrzymujących życie i wśród tylu obcych osób dookoła. Kiedy to już powiedziałam, słowa o miłości zaczęły swobodnie płynąć i do teraz powtarzam Szymkowi „kocham cię" wiele razy dziennie, bez umiaru.

W tamtym czasie odkrywałam, jak być mamą w tak beznadziejnych okolicznościach. Można do dziecka mówić, śpiewać

Fot. Joanna Perycz-Szczepańska

Pierwszy uśmiech w scenerii OIOM-u

piosenki, pomagać mu w podjęciu decyzji: „Chciałabym, żebyś był mój i żebyś ze mną został. Ale jeśli czujesz, że chcesz odejść do Boga, to ja to zrozumiem i tak też będzie dobrze. Czekają tam na ciebie twoi dziadkowie, którzy bardzo cię kochają". Można za pomocą oliwki wykonywać masaż małych nóżek i rączek w miejscach wolnych od wkłuć i wenflonów, można masować czółko, gładzić nosek. I ciągle powtarzać w myślach: „Tak bym chciała, żebyś był mój. Tak bym chciała cię przytulić".

Po dwóch dniach oczekiwania na nieuniknione, w mózgu umęczonym szaleństwem neuroprzekaźników usłyszałam wyraźny głos pytający: „Czy chcesz to dziecko?". „Chcę", odpowiedziałam Bogu, sama sobie, wszystkim moim nieżyjącym przodkom i aniołowi stróżowi, ktokolwiek zadał to pytanie.

Usłyszałam wyrok: „Któraś infekcja w końcu go zabije".

Na trzeci dzień pod zamkniętymi powiekami dziecka zaobserwowałam ruchy gałek ocznych.

A kiedy przyszłam na OIOM z rana czwartego dnia, usłyszałam nowinę: „Chodoniuk nam ożył".

ORP „Nieugięty"

W ciągu następnych tygodni zrozumiałam, że z lekarzami muszę rozmawiać wyłącznie w ich narzeczu. To proste – kiedy się jedzie do obcego plemienia, należy znać jego język, w przeciwnym razie komunikacja się nie uda, a konsekwencje wzajemnego braku zrozumienia mogą być przykre. Trochę jak w książce „W pustyni i w puszczy", którą w dzieciństwie czytali mi dziadkowie. Z lekarzami rozmawia się na podobnych zasadach. Antropologiczne wnioski nasuwały się same, kiedy lekarz prowadzący Szymka używał wobec mnie artylerii ciężkiej w postaci słów, których nie rozumiałam i które mnie przerażały. Co to jest wodogłowie? Wodociąg Sylwiusza? Martwicze zapalenie jelit? Sepsa? Leukomalacja? W odpowiedzi zaczęłam czytać podręcznik do neonatologii. Wejście w rolę „znawcy tematu" chwilowo redukowało uczucie lęku i bezsilności. Mniej koncentrowałam się na poczuciu winy z powodu cierpienia mojego syna oraz współcierpienia najbliższej rodziny. W kolejnych miesiącach i latach stałam się właścicielką niemałej biblioteczki, w której znalazły się książki z zakresu neurologii dziecięcej, okulistyki i nefrologii. Pojawiło się przekonanie, że wyłącznie ja odpowiadam za leczenie mojego dziecka i że tylko ja mogę i muszę wszystkiego dopilnować.

Fot. Aleksandra Chodoniuk

Jestem!

Tymczasem starałam się spędzać jak najwięcej czasu przy inkubatorze Szymka. Panicznie bałam się go zostawić, bo lekarz uraczył mnie opowieścią o tym, że „te dzieci" odchodzą przeważnie wtedy, kiedy nie ma przy nich rodziców, bo „nie chcą robić kłopotu". Każdorazowy powrót na oddział rano był traumatyczny, ponieważ zakładałam, że mogę już nie zastać mojego dziecka żywego.

Kolejne tygodnie przypominały jazdę kolejką górską. Na zmianę wznosiliśmy się i spadaliśmy w otchłań złych wiadomości. Krótka poprawa, następnie zakażenie septyczne, które omal nie zakończyło się śmiercią. „Zejście z respiratora" – widok Szymka pod budką z tlenem, samodzielnie oddychającego. „Szymuś sam oddycha… jak on to robi?" – dopytywała się z zachwytem moja mama. I zapalenie płuc, niewydolność oddechowa. Szybkie pogorszenie się stanu niedojrzałych siatkówek oczu – dwukrotna krioterapia. Nieudane nakłucia lędźwiowe w celu drenażu płynu mózgowo-rdzeniowego. Narastało wodogłowie. Pierwsze „kangurowanie" – czyli w końcu, po tylu tygodniach tęsknoty, mogłam przytulić moje dziecko. Powtarzałam w kółko „o Boże", i to była najdoskonalsza modlitwa dziękczynna w moim życiu. Następnego dnia pogorszenie, infekcja i znowu respirator. „To moja wina, czymś go zaraziłam".

Po trzech miesiącach ciągłej huśtawki „być albo nie być" Szymek osiągnął magiczną wagę dwóch kilo i uczył się pić mleko przez smoczek. Skrzep w mózgu (pozostałość po rozległym krwawieniu) powoli się wchłaniał. W krótkim czasie zadecydowano, że będę mogła moje cudem żyjące dziecko zabrać do domu.

Idziemy na wojnę

Maleńki Szymek na dnie siodełka samochodowego, wystrojony w ubranka dla „baby doll" (tylko takie nie były na niego za wielkie). Wypis najeżony nazwami jednostek chorobowych. Niewyjaśniona pozostała kwestia retinopatii wcześniaków, podobnie jak wiele innych problemów medycznych.

„Na pewno sobie pani poradzi" – usłyszałam.

„Ptaszek" – powiedziała moja babcia na widok prawnuczka i zabrała się do klejenia pierogów z czereśniami, żeby odżywić mnie i moją mamę, czyli Zespół do Spraw Czuwania Całą Dobę Nad Szymkiem. Mój tato przygotowywał ekspresowo dziecięcy pokoik.

Tymczasem w pierwszym tygodniu pobytu Szymka w domu dramatycznie pogorszył się stan jego oczu i dostaliśmy skie-

rowanie do Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie na zabieg laseroterapii. Tam dowiedziałam się, że synek będzie niewidomy. I że najprawdopodobniej ma wrodzoną, poważną wadę układu moczowego. Usłyszałam wyrok: „Któraś infekcja w końcu go zabije".

Następne lata wypełnia walka o wszystko. Operacje oczu, zabiegi nefrologiczne. Dziecko ciągle w stanie urosepsy. Padaczka i utrata umiejętności połykania. Stan padaczkowy, po którym Szymek przestaje mówić „mama" i „baba". Godziny spędzane w szpitalnych izbach przyjęć. Pielęgniarka na chirurgii dziecięcej ze złością rzuca Szymkiem o łóżko, ponieważ zwróciłam jej uwagę, że w główce został niezabezpieczony wenflon i dookoła tworzy się odczyn zapalny. Straszna noc na tejże chirurgii dziecięcej, kiedy Szymon po operacji wykonanej podczas infekcji, pomimo podawanego dożylnie meronemu, wysoko gorączkuje i ucieka z niego życie. Lekarka dyżurna odmawia przyjścia do niego w nocy, aby zobaczyć, co się dzieje. Pomoc otrzymujemy dopiero po interwencji z zewnątrz, na oddziale pediatrycznym.

Coś przegrywamy, coś wygrywamy

Wracam do pracy. Muszę. W dalszym ciągu jestem żołnierzem zawodowym… Moja mama bierze na siebie całodzienną opiekę nad wnukiem. Wojsko to już nie jest mój świat. Moim światem jest szpital. Mam jednak nadzieję na wcześniejszą emeryturę; wiem, że warto się postarać. Jestem samotną matką i to nasza jedyna szansa na w miarę normalne życie za kilka lat. „Opieka nad niepełnosprawnym dzieckiem jest łatwiejsza niż nad zdrowym. Bo choremu nie stawia się wymagań" – mówi mój ówczesny szef. Nie wie, że wstaję rano tylko dzięki mojemu ojcu, który budzi mnie, podając kawę i śniadanie, po kolejnej nieprzespanej nocy Szymka, wypełnionej jednostajnym krzykiem, dolegliwościami gastrycznymi, gryzieniem i drapaniem z bólu samego siebie i nas, próbujących ukoić jego cierpienie.

Do wcześniejszej emerytury pozostają tylko cztery lata. Przełożeni nie przedłużają ze mną kontraktu na służbę wojskową. „Nie zawalczyła pani o siebie" – słyszę z ust dowódcy. „Wcale nie miała pani aż tak dużo zwolnień. Są oficerowie, którzy mają jeszcze więcej" – mówi mi na pożegnanie nasza kadrowa.

Zaczynam wszystko od nowa. Dostaję „cywilne" zatrudnienie w dotychczasowym miejscu służby. Jestem w złym stanie psychicznym.

We wrześniu ubiegłego roku przyjeżdża do naszego domu zespół hospicyjny: pan doktor Bohdan i pielęgniarka, pani Beata, aby objąć nas opieką Hospicjum Domowego im. ks. E. Dutkiewicza SAC w Gdańsku. W samą porę.

„Pani jest wypalona" – mówi pan doktor. Ma rację.

Port „Hospicjum"

Od tego dnia wszystko się zmieniło. Odkąd należymy do Hospicjum, ani razu nie byliśmy w szpitalu. W naszym życiu jest więcej spokoju, mniej lęku. Pojawiło się poczucie bezpieczeństwa. Mogę mówić moim własnym językiem; wiem, że zostanę zrozumiana.

Fot. Joanna Perycz-Szczepańska

Zielono mi

Kiedy pogarsza się stan Szymka, natychmiast przyjeżdża doktor Kasia. Zawsze możemy też liczyć na wizytę lekarza dyżurnego. Nie ma mowy o wielogodzinnym oczekiwaniu na izbie przyjęć. Mam poczucie, że dla pracowników Hospicjum Szymek jest najważniejszy. Jego życie stanowi wartość. Nie muszę już nikogo do tego przekonywać. Mogę zaufać. Nie jesteśmy sami.

Otaczają nas ludzie, którzy – gdyby nagle powołać ich do reprezentacji narodowej w piłce nożnej – bez specjalnego treningu wyszliby z grupy. Ponieważ są zbudowani z wiary i potrafią walczyć do końca.

Myślę, że wszyscy – zdrowi i chorzy – jesteśmy w podobnej sytuacji: nasze godziny liczy Naczelny Lekarz i tylko On wie…

Wszystkim, czym na pewno dysponujemy, jest bieżąca chwila i od nas zależy jedynie to, ile miłości i troski komuś w niej ofiarujemy.

Wszystkim, czym na pewno dysponujemy, jest bieżąca chwila i od nas zależy jedynie to, ile miłości i troski komuś w niej ofiarujemy. Tak rozumiem filozofię pracy wspaniałych ludzi, których poznałam w Hospicjum. To także moja filozofia: wszyscy polegamy tylko na miłości, tylko ona od nas zależy i tylko ją zabierzemy ze sobą na Tamtą Stronę. Jeśli nam jej zabraknie, potrzebujemy kogoś, kto będzie chciał napełnić dobrem nasze puste ręce. Co do nadziei, to i tak umiera ostatnia, co z uśmiechem rozjaśniającym całą twarz powtarza Hania, nasza nowa pielęgniarka.

Teraz nie mogę już sobie przypomnieć, dlaczego tak bardzo chciałam służyć w wojsku, po co uczyłam się rzucać granatem, strzelać z pistoletu…? Przecież jestem po stronie Życia.

Aleksandra Chodoniuk

Uczniowie chcą i potrafią pomagać

Współczesny świat kusi młodych ludzi swoimi wspaniałościami, ale jednocześnie stanowi wielkie zagrożenie dla ich rozwijającej się dopiero wrażliwości. Jakże często my wszyscy nie zauważamy tych, którzy nie są nam potrzebni, zbywamy niewiele znaczącą uprzejmością, a jeśli dotykają ich problemy – zaledwie odrobiną współczucia. Wolontariat szkolny jest szansą na ukształtowanie człowieka, który nie przejdzie obojętnie obok ludzkiej krzywdy. Jego wielkim atutem jest również wzmacnianie poczucia wartości tych, którzy pomagają.

Fot. Elżbieta Smolińska

Część wolontariuszy z ZKPiG nr 6 w Gdańsku

Wolontariat to inwestycja niezwykła – oddając swój czas drugiemu człowiekowi, dostaje się w zamian wiele więcej: uznanie, bezcenne doświadczenia, często przyjaźń i poczucie sensu własnego życia.

Od wielu lat uczniowie Zespołu Kształcenia Podstawowego i Gimnazjalnego nr 6 w Gdańsku Oruni uczestniczą w pracach na rzecz Hospicjum im. ks. E. Dutkiewicza SAC. Celem istniejącego w szkole Klubu Wolontariatu jest zwrócenie uwagi dzieci i młodzieży na otaczający świat, a co za tym idzie również na choroby, tak powszechne w naszym życiu, oraz uświadomienie im, że pomagać zarazem i trzeba, i warto.

Naszym hasłem przewodnim jest: „I Ty pomóż nam pomagać – przecież potrafisz". W roku szkolnym 2011/2012 przystąpiliśmy do konkursu Fundacji Hospicyjnej „Świadomy wolontariat jako aktywność społeczna na przykładzie wolontariatu hospicyjnego". W jego ramach uczniowie między innymi rozmawiali z przypadkowymi ludźmi na ulicach miasta albo w środkach komunikacji miejskiej, uświadamiając im, że oprócz zdrowia, młodości i szczęścia są jeszcze ciężkie choroby i inne tragedie, które dotykają osoby żyjące czasami obok nas. Na pamiątkę rozmowy uczniowie rozdawali żółte balony i wstążeczki, symbolizujące powrót do domu, na przykład po ciężkiej chorobie. Oskar wspomina: *Ludzie reagowali na nas różnie, ale najczęściej z wielką życzliwością, gdyż w codziennym życiu naszych rozmówców obecne były często osoby, którym my pomagamy*. Akcja spotkała się z dużym zainteresowaniem społecznym i myślę, że wielu przechodniów sprowokowała do głębszych refleksji.

Podczas tych lat współpracy z Hospicjum przez Szkolny Klub Wolontariatu przewinęły się setki młodych ludzi z naszej szkoły. Wielu z nich pracuje nadal na rzecz Hospicjum, już jako uczniowie szkół ponadgimnazjalnych oraz studenci. W swoich nowych środowiskach dalej realizują się w pomaganiu podopiecznym Hospicjum, zarówno tym starszym, jak i młodszym. Już jako dorośli koordynują pracę młodzieży lub są wolontariuszami medycznymi. Nie sposób nie wspomnieć tu o Oskarze, Bartku, Kindze, Halszce, Agnieszce, Oli czy Michale. Nawet nie próbuję wymienić wszystkich. Wykrzesana z nich iskierka czynienia dobra na rzecz innych, ludzi potrzebujących pomocy, przyniosła plony. Należy podkreślić, że bez wsparcia grona pedagogicznego, rodziców naszych uczniów i dyrekcji szkoły wiele akcji po prostu by się nie odbyło, zwłaszcza loterii, kiermaszy i kwest.

Zaczyna się kolejny rok szkolny, a w nim wiele starych i nowych zadań przed nami. Wierzę gorąco, że jest mnóstwo młodych ludzi zdolnych czynić dobro. Wystarczy pokazać im drogę (nie zawsze łatwą, wymagającą poświęceń i dobrej organizacji), a jest nadzieja, że następne pokolenia też ją znajdą. Na jej końcu zawsze i nieodmiennie czeka przecież uśmiech drugiego człowieka.

Elżbieta Smolińska
Koordynator Szkolnego Klubu Wolontariatu Zespołu Kształcenia Podstawowego i Gimnazjalnego nr 6 w Gdańsku Oruni

Fot. Elżbieta Smolińska

Symboliczne sadzenie żonkili w towarzystwie… anioła

Fot. Arkadiusz Wegner

Idą, idą leśni...

Było nam bardzo miło. Otrzymaliśmy zaproszenie na wielkie święto pomorskich leśników – doroczny festyn edukacyjny Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych, od lat organizowany w jednej z najbardziej reprezentacyjnych przestrzeni Trójmiasta, na Placu Kuracyjnym przy sopockim molo. I był to nie pierwszy gest sympatii, Lasy Państwowe już wielokrotnie wspierały Fundację Hospicyjną w jej przedsięwzięciach. Propozycja współtworzenia Leśnego Festynu to kolejny dowód, że idee hospicyjne mogą być bliskie środowiskom na co dzień żyjącym zupełnie innymi sprawami.

Mimo silnego wiatru tłumnie było już przed 11.00, czyli oficjalną godziną rozpoczęcia imprezy. Wprawdzie na scenie nie działo się jeszcze nic, ale rozstawione stoiska gospodarzy i ich gości okazały się wystarczającym wabikiem. Do stanowisk Koła Gospodyń Wiejskich z Osiecznej wręcz trudno było się dopchać. Bo też amatorów przetworów z runa leśnego, suszonych grzybów, nalewek o tysiącu smaków, wreszcie imponujących wypieków nie brakuje nigdy.

Będziemy mieli okazję pokazać najciekawsze miejsca naszego województwa, ale też zdradzić tajemnice, które niesie ze sobą las, wyjaśnić jego mechanizmy, potrzeby gospodarcze, wreszcie przybliżyć wspaniałą pomorską przyrodę. Życzę wszystkim Państwu, by dowiedzieli się wreszcie, co tak naprawdę w lesie gra – powiedział na wstępie zastępca dyrektora Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Gdańsku Jerzy Fijas i zaprosił do wspólnej zabawy. Przygotowano jej co niemiara – samych stoisk nadleśnictw aż osiem. Trzeba było je wszystkie przejść, uczestnicząc przy tym w konkursach i mini wykładach, by na specjalnej karcie uczestnika zebrać pieczątki niezbędne do odebrania miłego upominku. Czego się człowiek przy tym nie dowiedział?! Do jakiej umysłowej gimnastyki bywał prowokowany, niestety często uświadamiającej nikłą wiedzę na temat ekosystemu. Chętni mogli sobie nawet popiłować drewno albo zabawić się w leśnych ogrodników. Wielką atrakcją okazała się też obecność sokolników z pupilami, do których można było podejść i porozmawiać o zwyczajach tych niezwykłych ptaków.

Na festyn przyszły całe rodziny i każdy z ich członków mógł znaleźć dla siebie interesujące wyzwania. Tym bardziej że do prowadzenia wspólnej zabawy leśnicy zaprosili między innymi: gdański oddział Ligi Ochrony Przyrody, gdańskie Centrum Informacji i Edukacji Ekologicznej oraz Pomorski Zespół Parków Krajobrazowych, który przygotował swoją własną interesującą ścieżkę edukacyjną.

Stoisko Fundacji Hospicyjnej wyróżniało się na tle innych bardzo bogatą ofertą książkową. Publikacje na temat zwalczania raka, pielęgnacji w chorobach przewlekłych i opieki paliatywnej spotykają się zawsze z zainteresowaniem i tym razem było podobnie. Dodatkową atrakcją była obecność Danuty Stopieńskiej, koordynatora Akademii Walki z Rakiem oraz Marii Fall-Ławryniuk, dietetyczki, która wykonywała bezpłatne badanie pomiaru składników ciała, udzielając na podstawie jego wyników indywidualnych porad.

Zdrowie to dar doceniany dopiero wtedy, kiedy zaczyna go nam brakować. Zwykła grypa potrafi zdezorganizować plan dnia, a co dopiero, gdy pojawi się poważna choroba, zmierzająca do śmierci – mówiła ze sceny Alicja Stolarczyk, prezes Fundacji Hospicyjnej, i zwróciła uwagę zgromadzonych na młodych wolontariuszy w żółtych koszulkach. – *Nie omijajcie ich wzrokiem i nie zamykajcie portfeli* – poprosiła. – *Oni będą kwestować dla naprawdę potrzebujących.* Parami lub w pojedynkę młodzi pomocnicy Fundacji obecni byli przez cały czas trwania festynu, zaświadczając w ten sposób o swojej solidarności z ludźmi chorymi i umierającymi.

Tymczasem na scenie, niczym w kalejdoskopie, zmieniali się artyści, a wraz z nimi charakter wykonywanego repertuaru. Grano i na młodzieżową, i na folkową, i na jazzową nutę. Dwa razy, wzbudzając wielki entuzjazm widowni, wystąpiła Orkiestra Reprezentacyjna Lasów Państwowych z Tucholi pod batutą Mirosława Pałczyńskiego.

Rozstawać się było trudno, ale tak to już z udanymi spotkaniami bywa, że mijają za szybko. Lasom Państwowym dziękujemy raz jeszcze za zaproszenie i mówimy: „do zobaczenia".

Magda Małkowska

Fot. Arkadiusz Wegner

Stoisko Fundacji było również punktem zbiórki wolontariuszy

Wydarzyło się w...

W pewnym mieście do pewnej gazety przyszedł list. To już nieistotne, w jaki sposób trafił w nasze ręce – był tą przysłowiową ostatnią kroplą, która przekonała nas do tematu kolejnej fundacyjnej kampanii. Listy wysyła się z różnych miejsc, ten powstał w otchłani trwogi o własne człowieczeństwo. Publikujemy go w całości za zgodą autorki.

Droga Redakcjo!

Płakałam, czytając ostatni reportaż (…) w (…). I chyba z tego płaczu przez część nocy wzięła się myśl, by do Was napisać. Mijają kolejne dni od ostatniej kontroli na oddziale ginekologii onkologicznej – ponoć jestem zdrowa i ponoć to naprawdę koniec moich szpitalnych perypetii. Ale z rewelacyjnymi wynikami w garści, markerami do pozazdroszczenia i wcale niezłym samopoczuciem fizycznym wciąż nie mogę się wyzwolić z lęku, że w każdej chwili mój organizm może zastrajkować raz jeszcze, a ja ponownie wyląduję na szpitalnym łóżku. Bo wtedy znowu doświadczę przeklętej metamorfozy i z 47-letniej głównej księgowej w sporej firmie, szczęśliwej żony i mamy stanę się bezwolnym piżamkowcem, któremu można wszystko, ale on nie może nic.

Powinnam zacząć od początku. Po jednym z cykli miesięcznych zaniepokoił mnie mój brzuch, nagle dziwnie powiększony. Nic mnie wówczas ani wcześniej nie bolało, ale nie zwlekając i wcześniej niż planowałam, pobiegłam na kontrolę do mojego ginekologa. W badaniu USG wyszła spora zmiana wyglądająca na torbiel i z gabinetu wyszłam od razu ze skierowaniem do szpitala. Ginekologa odwiedzam regularnie, więc diagnoza mnie zaskoczyła, zmiana wyrosła zaledwie w ciągu kilku tygodni.

Spłakałam się jak bóbr, choć doktor zachowywał się na medal – nie straszył, nie panikował, jednak radził stanowczo usunąć. Szczęśliwie był ze mną mąż i do szpitala pojechaliśmy razem. Natychmiast. W pierwszym termin operacji wyznaczono mi za pół roku, ale poradzono, bym spróbowała w drugim. Było warto, bo tam zapisano mnie na za trzy tygodnie, więc właściwie błyskawicznie. Tym bardziej że był to dla mnie minimalny czas potrzebny do zaszczepienia się przeciw żółtaczce i oswojenia myśli, iż nagle oto jestem chora, w moim brzuchu czai się nie wiadomo co i muszę iść do szpitala. Po raz pierwszy w życiu, nie licząc dwóch krótkich i radosnych pobytów związanych z narodzinami moich dziewczynek.

Stawiłam się w wyznaczonym dniu, odpowiednio przygotowana od strony medycznej i kompletnie roztrzęsiona wewnętrznie. Moje przyjęcie do szpitala przebiegało według ustalonych procedur. Kolejne rozmowy z lekarzami i pielęgniarką służyły wypełnianiu kolejnych formularzy, z pewnością istotnych w przygotowaniach do operacji. Pamiętam, że już wtedy brakowało mi przynajmniej krótkiej rozmowy z operatorem, który by się przedstawił, wyjaśnił istotę zabiegu i planowane skutki. Jednak rozpaczliwej galopady myśli i emocji, której doświadczyłam następnego dnia po przebudzeniu z narkozy, nie da się porównać z niczym. Przez cztery dni leżałam unieruchomiona, przypięta kabelkami do kroplówki i urządzenia, za pomocą którego podawano mi przeciwbólowe środki. Z brzucha wychodziły mi dwa dreny i cewnik.

W tym czasie byłam kompletnie odizolowana od jakichkolwiek informacji na swój temat. Znowu żaden z operujących do mnie nie przyszedł, a codzienny obchód służył… lekarzom w zbieraniu i porządkowaniu informacji. Moje próby dopytywania się zbywano formułką tajemnicy lekarskiej (na sali leżałam z jeszcze jedną pacjentką) lub ich nie zauważano. Zwariowałabym, gdyby nie przychodzący popołudniami mąż, któremu coś oględnie, „z zachowaniem tajemnicy" opowiedziano. Ale to była zaledwie namiastka tego, czego potrzebowałam. Nie mogę wyrzucić z pamięci tamtych długich godzin leżenia w strasznym lęku i niepewności. I wrażenia, że oto nagle z Anny stałam się kartą-wykresem gorączki, ciałem, z którego ważny jest jedynie fragment między pępkiem a miednicą. Na wnętrze człowieka składają się nie tylko narządy, ale i psychika. Tam mało kto się tym przejmował. Większość przychodziła do pracy i wykonywała swoje obowiązki, w których widocznie nie wpisano rozmowy człowieka z człowiekiem.

Po czterech dniach łóżkowej niewoli wreszcie mogłam samodzielnie poruszać się po oddziale i próbować uzyskać trochę wiedzy na swój temat. Niestety lekarze byli bardzo zabiegani i nie mieli czasu na rozmowę. Zdarzyło się też, że jeden z nich, kiedy poprosiłam o wyjaśnienie mojego wypisu, potraktował mnie w sposób obcesowy, wręcz niegrzeczny. Jak mógł! – pomyślałam wtedy – i co ja mu zrobiłam, że tak mnie potraktował!? Tym bardziej pamiętam innego lekarza, który znalazł chwilę czasu, by cierpliwie i serdecznie rozwiać moje wątpliwości i niepokoje. „Proszę się nigdy nie zmienić" – powiedziałam mu za którymś razem ze ściśniętym gardłem.

Za trzy tygodnie miałam stawić się po wynik badania histopatologicznego. Trzy tygodnie koszmaru, z którym niczego nie da się porównać. – Kochanie, damy radę – mówił mąż i dałam radę właściwie dzięki niemu i Bogu, którego prosiłam o dar spokoju. Po odbiór wyników pojechaliśmy razem. W szczegółowym badaniu w guzie wykryto komórki rakowe, ale tylko tam. Pozostałe próbki z kilkunastu, różnych miejsc jamy brzusznej były czyste.

Nie wchodząc już w szczegóły medyczne, zalecono mi poszerzenie zabiegu. Zgodziłam się, chociaż myśl, że czeka mnie powtórka ze szpitalnego życia, załamała kompletnie. Nie bez podstaw, niestety. To rzeczywiście była powtórka, z zachowaniem wszystkich przed- i pooperacyjnych procedur. Obleczona w piżamę na powrót stałam się czymś – najpierw snującym się po korytarzu, potem uwiązanym do łóżka, by znowu wrócić na korytarz, bez większej szansy na kontakt. Czekając na oddziale na wolne łóżko, siedziałam na krześle i łzy same płynęły do oczu. Martwiłam się o to, co mnie czeka, i że znowu zostawiam dzieci, i męża, i że się bardzo boję. Starałam się kryć te łzy, bo to przecież wstyd… Niepotrzebnie, nikt nie zwracał na mnie uwagi. Dziś myślę, że przydałby się tam psycholog… Dlaczego dotąd nikt na to nie wpadł?

Już po zabiegu w jako takich psychicznych ryzach trzymał mnie fakt, że operacja przeszła pomyślnie i że miał to być koniec szpitalnych perypetii. Oczywiście znowu wiedziałam o tym od męża, bo tajemnica lekarska wiązała skutecznie usta. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego po operacji nie przyszedł do mnie żaden lekarz,

żeby zdać relację z przebiegu i skutków zabiegu?! Ciekawe, czy na własne życzenie mogłabym go zwolnić z tajemnicy lekarskiej i ochrony danych, tak by mógł mi odpowiedzieć na podstawowe kwestie dotyczące mojego stanu? Zresztą o niektórych działaniach lekarskich pacjentki dowiadywały się przypadkiem, na przykład od pielęgniarek, jak moja współlokatorka z sali, która po przebudzeniu ze zdziwieniem odkryła u siebie „coś" na brzuchu. Pielęgniarka dziwiąc się, że chora nic nie wie, przekazała jej, nie krępując się moją obecnością, iż w trakcie zabiegu trzeba było wykonać stomię. Ot, drobiazg, o którym można mówić w towarzystwie… Po 6 dniach wróciłam do domu. Jednak wielka dziura, w którą ktoś mnie wrzucił, pogłębiła się jeszcze bardziej, a ja miałam wrażenie ciągłego spadania. W wypisie, oprócz standardowych zaleceń, w tym kontroli po badaniu histopatologicznym pobranych wycinków, miałam wyznaczonego dnia zgłosić się na Oddziale Chemioterapii Dziennej. Więc to nie koniec?! Przede mną chemia, o której do tej pory nikt nawet mi nie wspomniał! Wprawdzie lekarz na konsultacji (tym razem inny) wyjaśnił, że termin przydzielono mi z góry, w razie niekorzystnych wyników histopatologicznych, ale przestałam wierzyć już komukolwiek. Nadal się bałam.

Moja historia z punktu widzenia medycznego ma happy end. Odebrany po trzech tygodniach wynik i przeprowadzona zaraz potem kontrola lekarska potwierdziły, że jestem zdrowa. Tamtego dnia przed gabinetem, w którym wydawano wyniki histopatologiczne, mimo tłoku panowała dojmująca cisza. Jednak z jedną z kobiet, z którą odesłano mnie na badanie, zamieniłam parę słów. Była bardzo zadbana, ze starannym makijażem i fryzurą. Na odchodnym rzuciła: – Wie, pani, wszyscy mi mówią, że tak świetnie wyglądam po operacji, a ja jestem przerażona.

Jestem w domu i jest mi dobrze. Bolą mnie wprawdzie jeszcze różne miejsca po zabiegu, ale to drobiazg. Czuję ogromną wdzięczność do lekarzy – dzięki ich profesjonalizmowi i wytrwałemu trudowi wielogodzinnych bardzo ciężkich operacji nadal jestem. To wartość absolutnie nie do przecenienia! Mogłabym za to dziękować codziennie i w nieskończoność. Jednak w tej szpitalnej gonitwie zabrakło czegoś bezcennego. Dziś już nie mam wątpliwości, że dusza boli bardziej niż ciało. Najprawdopodobniej wystarczyłaby chwila uwagi, rozmowy, rzeczowej informacji i zrozumienia. Ze strony lekarza i pielęgniarki to naprawdę niewiele, a – proszę mi wierzyć – ogromnie dużo dla przepełnionego lękiem pacjenta, zwłaszcza na takim oddziale.

Już świta, kończę, pozdrawiam –

Anna S.

Rozmowa może pomóc, rozmowa może zabić

Obok zastosowanego leczenia i wykorzystania najnowszego sprzętu medycznego ogromne znaczenie w powrocie do zdrowia ma także umiejętne przekazywanie informacji oraz wsparcie psychiczne chorego i jego rodziny. Konieczny jest profesjonalizm w indywidualnym podejściu do pacjenta i traktowanie go jako osoby, a nie jedynie przypadku. Fundacja Hospicyjna przygotowuje się do IX kampanii społecznej *Hospicjum to też Życie*, poruszającej problem komunikacji w opiece medycznej, w relacjach środowisko medyczne – pacjent – rodzina.

Hasłem kolejnej edycji kampanii będzie „Zdrowa rozmowa", bo uważamy, że jest jej stanowczo za mało zarówno realiach polskiej służby zdrowia, jak i w relacji z bliskimi. Pacjent nie rozumie lub nie umie poradzić sobie z przekazaną informacją i w konsekwencji nie nawiązuje pozytywnych relacji z personelem leczącym, bliskimi, traci zaufanie, nie współpracuje w procesie leczenia, wreszcie trudniej znosi zabiegi terapeutyczne. Natomiast personel medyczny nie radzi sobie z narastającymi emocjami i stresem, co w konsekwencji prowadzi do wypalenia zawodowego. Można jednak temu zaradzić, można to wyleczyć. Zależy nam na doprowadzeniu do „spotkania" zainteresowanych grup i stworzeniu modelu porozumiewania się, a w efekcie Szkoły Komunikacji.

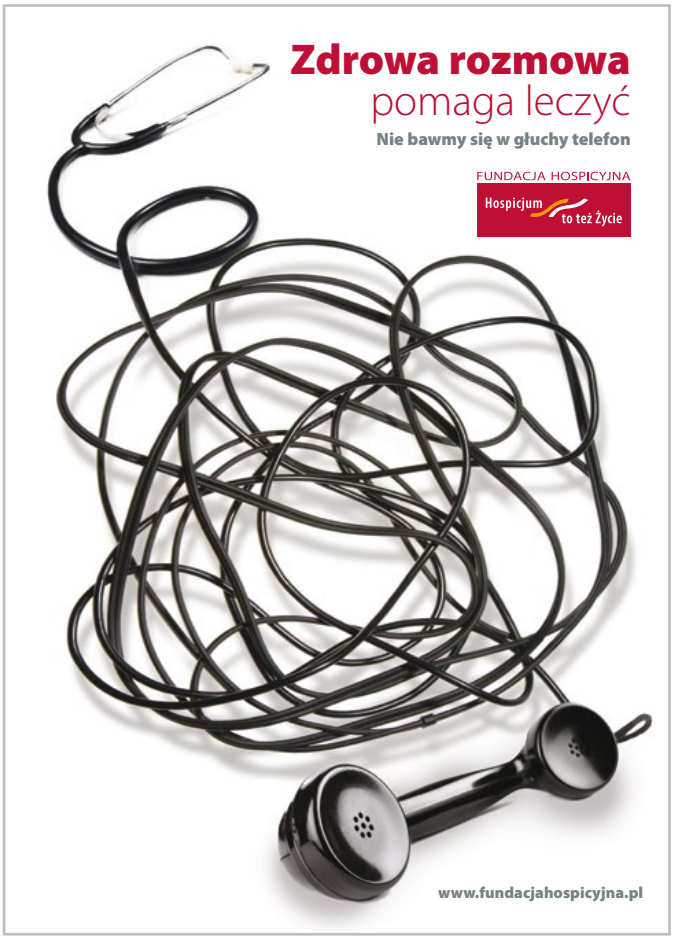

W kampanii ważnym elementem środowiskowym, czyli hospicyjnym, jest doświadczenie tych instytucji w sztuce komunikacji. Hospicja są miejscem, w których przekazywanie trudnych informacji związanych z chorobą, życiem i odchodzeniem jest codziennością, a umiejętność właściwego komunikowania jest niezbędna.

W czasie trwania kampanii Fundacja będzie prowadzić zbiórkę publiczną. Zebrane pieniądze zostaną wykorzystane na przeprowadzenie szkoleń ze sztuki komunikacji.

Patronatu merytorycznego kampanii udzieliły już: Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej w Warszawie, Polskie Towarzystwo Psychoonkologiczne oraz Krajowy Duszpasterz Hospicjów. Patronat medialny sprawować będą między innymi: Telewizja Polska SA, portal WP.pl, Instytut Monitorowania Mediów, portal NGO.pl, Polska Agencja Prasowa, miesięczniki *Moda na Zdrowie* i *Żyjmy Dłużej*, tygodnik *Gość Niedzielny*. Ambasadorami kampanii zostali Dorota Kolak i Jerzy Stuhr.

Jolanta Leśniewska

Ważniejsze terminy kampanii:

Czas trwania: 13.10.–31.12.2012

15.09.2012 – zapowiedź podczas gdańskiej konferencji z okazji 10. rocznicy śmierci ks. E. Dutkiewicza SAC

09.10.2012 – konferencja prasowa w siedzibie PAP w Warszawie

13.10.2012 – rozpoczęcie kampanii w Światowy Dzień Hospicjów i Opieki Paliatywnej. Gdański koncert charytatywny pod hasłem „Głosy dla Hospicjów" (wykaz pozostałych na stronie www.hospicja.pl, w zakładce „kampania")

18.11.2012 – dzień kampanijny w telewizyjnej Jedynce

listopad 2012 – debata w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej

31.12.2012 – zakończenie kampanii

O problemach komunikacji

Problem komunikacji w medycynie nabiera współcześnie coraz większego znaczenia. Składa się na to wiele przyczyn. I tak nauczyliśmy się obecnie dobrze kontrolować objawy fizyczne, na których dawniej koncentrowały się potrzeby chorych (np. opanowanie bólu). Zmniejszył się autorytet lekarza, któremu stawia się większe wymagania również w zakresie kontaktu z pacjentem. Jednocześnie wzrosło poczucie własnych uprawnień chorych, zwielokrotnione przez większą niż dotąd ich wiedzę o chorobie i leczeniu (Internet, prasa itp.).

Nawiązanie komunikacji jest sprawnością, której trzeba się nauczyć. W sensie ogólnym jawi się jako proces przebiegający pomiędzy nadawcą (kodującym informacje) a odbiorcą, który je odkodowuje. Na przebieg takiej interakcji duży wpływ mają okoliczności zewnętrzne oraz cechy psychofizyczne jej uczestników (język ciała, zachęty i bariery werbalne, „uszy odbiorcy" itp.).

Komunikacja w medycynie jest problemem szczególnego rodzaju – mamy tu do czynienia z relacjami różnego typu: lekarz/pielęgniarka-pacjent, pacjent-lekarz/pielęgniarka, członkowie personelu między sobą. Każda z tych relacji zawiera pewne cechy szczególne, od których zależy ich skuteczność. Spośród wielu relacji lekarz/pielęgniarka-pacjent najważniejsze są trzy typy rozmów: diagnostyczna (wywiad), neutralnie informująca (na temat choroby, leczenia, diety, trybu życia itp.) oraz przekazująca niepomyślne wiadomości (o rozpoznaniu i rokowaniu). Każda z nich wymaga odpowiednich umiejętności, które członkowie zespołu medycznego powinni nabywać w toku szkoleń.

Szczególnie dobre przygotowanie wskazane jest podczas prowadzenia tzw. trudnych rozmów, wymagających nieraz dużego wysiłku poznawczego i samokontroli emocjonalnej. Dotyczy to np. dylematów etycznych, problemów egzystencjalnych, a także „terapii słowem" chorych depresyjnych, w lęku lub zbuntowanych.

Odrębnym zagadnieniem są relacje pomiędzy członkami zespołów medycznych, uwzględniające reguły postępowania, które jednocześnie zapobiegają zespołowi wypalenia.

Ostatnio szczególnego znaczenia nabierają tzw. szkoły dla pacjentów, które m.in. uczą prowadzenia rozmowy przez chorych z personelem medycznym. Dotyczy to np. sposobu formułowania pytań, opisu swoich dolegliwości czy też przedstawiania własnych propozycji odnośnie do pewnych elementów leczenia itp.

Na koniec pamiętajmy, że:

Jeśli mówimy coś naszemu Rozmówcy, to nie znaczy, że On to usłyszał.

Jeśli Rozmówca to usłyszał, to nie znaczy, że to zrozumiał.

Jeśli zrozumiał, to nie znaczy, że to wprowadził w życie.

Jeśli wprowadził w życie, to nie znaczy, że to kontynuuje.

prof. Krystyna de Walden-Gałuszko

Żegnaj lato na rok

Funduszowi Dzieci Osieroconych lata i letnich wspomnień szkoda bardzo… Tyle się przecież działo – obozy, zbiórki pieniędzy i przyborów szkolnych, wreszcie na zakończenie wspaniały festyn. Spróbujmy zebrać wszystkie dokonania Funduszu w lipcu i w sierpniu – miesiącach naszej szczególnie wytężonej pracy.

KOLOROWY PIÓRNIK

Zaczęliśmy jeszcze w poprzednim roku szkolnym, 15 czerwca. Już po raz trzeci FDO postanowił wyposażyć swoich podopiecznych w niezbędne przybory szkolne. W ramach akcji można było wpłacać środki na konto lub przysyłać zakupione części wyprawki. Nauczycielom zaproponowaliśmy, by zamiast tradycyjnych kwiatów podczas rozdawania świadectw poprosili uczniów o przybory szkolne dla tych, którzy nie mogą sobie na nie pozwolić. Ponadto w dniach 17-19 sierpnia przeprowadziliśmy zbiórkę artykułów szkolnych na terenie gdańskiego hipermarketu Auchan, a 1 września w sklepie Ikea Gdańsk, którą połączyliśmy z warsztatami plastycznymi i bębniarskimi dla wszystkich zainteresowanych – i dużych, i małych. Łącznie udało nam się zebrać ponad 2800 sztuk przyborów szkolnych, które trafiły do ponad 100 dzieci z woj. pomorskiego. Fundacja Hospicyjna wsparła dzieci będące pod opieką hospicjum w Tczewie, Gdyni, Gdańsku. Z naszej pomocy skorzystały cztery ośrodki z regionu oraz dzieci będące pod opieką hospicjum w Lubartowie, Chorzowie oraz w Żurominie.

Fot. Arkadiusz Wegner

Zbiórki na terenie Auchan i Ikea Gdańsk przyniosły wspaniałe owoce

OBOZOWE LATO

Najpierw, bo 22 lipca, wyjechaliśmy na ponad tydzień do Kątów Rybackich na obóz detektywistyczny. Jego uczestnikami byli podopieczni Hospicjum im. ks. E. Dutkiewicza SAC w Gdańsku, Hospicjum św. Wawrzyńca w Gdyni oraz hospicjów w Tczewie i Starogardzie Gdańskim. Dzięki dotacji z Urzędu Miasta Gdańska, Państwu Danucie i Ryszardowi Wojnowskim oraz środkom własnym Fundacji Hospicyjnej mogliśmy wysłać aż 30 dzieci z woj. pomorskiego. Gościem specjalnym obozu była Henryka Krzywonos, która od lat wspiera wszelkie fundacyjne działania.

Fot. Arkadiusz Wegner

W kupie raźniej

6 sierpnia ósemka podopiecznych Fundacji Hospicyjnej, dzięki uprzejmości firmy Thomson Reuters oraz PM Experts, wyjechała na obóz językowo-rekreacyjny do Nadola koło Wejherowa. Podczas tegorocznej edycji English Summer Camp dzieci z okolic Tczewa, Gdańska i Gdyni miały okazję podszkolić język angielski oraz poznać obyczaje różnych krajów.

FESTYN NA POŻEGNANIE

28 sierpnia mali i młodzi podopieczni Funduszu zaproszeni zostali przez 49. Bazę Lotniczą z Pruszcza Gdańskiego na festyn z okazji święta wojsk powietrznych. Była to niepowtarzalna okazja do poznania zawodu lotnika, zwiedzenia bazy oraz… objęcia sterów MI 24. Dzieci wraz z opiekunami mogły też obejrzeć pokaz sokołów i jastrzębia, pracujących na co dzień na lotnisku. Na koniec czekało na nas ognisko wraz z kiełbaskami, podczas którego 34 dzieci otrzymało szkolne wyprawki.

WRACAMY DO SZKOŁY

W Funduszu Dzieci Osieroconych, podobnie jak w szkole, nowy rok zaczyna się 1 września. Przygotowujemy już kolejną edycję stypendiów edukacyjnych na sezon 2012/2013. Nasi podopieczni z kraju muszą mieć szansę na rozwijanie swoich talentów – zarówno językowych, sportowych, jak i artystycznych. W poprzedniej edycji dzięki sponsorom ufundowaliśmy 81 stypendiów dzieciom z 22 ośrodków opieki hospicyjno-paliatywnej. Program stypendialny ruszy od 1 października, wszystkie szczegóły będą na bieżąco zamieszczane na stronie: www.funduszdzieci.pl.

Justyna Ziętek

Koordynator Funduszu Dzieci Osieroconych

BIBLIOTEKA FUNDACJI HOSPICYJNEJ

W świecie bez pamięci

12 września odbędzie się premiera kolejnej książki z serii *Przez rzekę* wydawnictwa Czarne, zatytułowana *Opiekunka. Życie z Nancy. Podróż w świat alzheimera.*

„Przemyślana, pouczająca i prawdziwa (…) bardzo dobra i bardzo potrzebna książka" – jak pisze w swojej recenzji Sir Richard Eyre z UK Alzheimer's Research Trust. Bohaterką i autorką książki jest Andrea Gillies, która wraz z mężem i trójką dzieci przeprowadza się do dużego wiktoriańskiego domu położonego w jednym z odległych zakątków na północy Szkocji, by tam podjąć się nowego wyzwania, jakim będzie opieka nad chorą na alzheimera teściową. Andrea staje się nie tylko opiekunką, ale kimś o wiele ważniejszym. Jest przewodnikiem i towarzyszem w szczególnej podróży – przejściu z realnego świata do alternatywnej rzeczywistości demencji.

„To nie jest dziennik młodej Brytyjki z czasu opieki nad teściową pogrążającą się w otchłani choroby Alzheimera. A przynajmniej nie tylko. To też książka o poszukiwaniu człowieczeństwa – w płatach czołowych mózgu, w hipokampie, bo przecież nie w sercu, choć – jak zauważa autorka – to ten mięsień zwykło się uważać za mieszkanie duszy. Wszystko w porządnej, niemal popularnonaukowej obudowie. To także książka o poszukiwaniu człowieczeństwa w sobie.

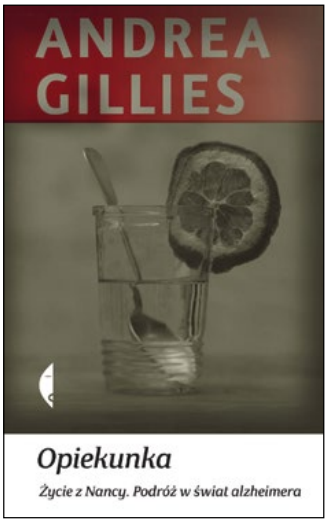

Kiedy tytułowa opiekunka Andrea namawia chorą Nancy do zdjęcia trzech swetrów w upał albo myje ją z ekskrementów, to ważne jest, jak się z tym czuje Nancy, ale ważniejsze, jak się z tym czuje Andrea. Autorka opisuje to bez litości – dla siebie i dla czytelnika. To kawał szczerej literatury o problemach, które na początku XXI wieku dotykają miliony ludzi. Naprawdę współczesna literatura" (Wojciech Staszewski, autor książki *Ojciec.prl*) (www.httz.pl/sklep).

Olga Woźniak

AKTUALNOŚCI

Zaproszenie na konferencję **Wygrać z rakiem – wsparcie i edukacja dla zdrowia**

Komisja Spraw Społecznych i Ochrony Zdrowia Rady Miasta Gdańska oraz gdański oddział Akademii Walki z Rakiem, działającej przy Fundacji Hospicyjnej, zapraszają na konferencję edukacyjną zatytułowaną: **Wygrać z rakiem – wsparcie i edukacja dla zdrowia**, poświęconą możliwościom pomocy osobom dotkniętym chorobą nowotworową i ich bliskim. Odbędzie się ona w dniu 4 października br. w siedzibie Rady Miasta Gdańska, przy ul. Wały Jagiellońskie 1. Patronat honorowy nad wydarzeniem objął Prezydent Miasta Gdańska, natomiast patronat merytoryczny sprawują: Gdański Uniwersytet Medyczny, Wojewódzkie Centrum Onkologii, Polskie Towarzystwo Psychoonkologiczne, Wojewódzki Ośrodek Koordynujący Populacyjne Programy Wczesnego Wykrywania Raka Piersi oraz Profilaktyki i Wczesnego Wykrywania Raka Szyjki Macicy w Gdańsku, a także Polskie Towarzystwo Programów Zdrowotnych.

PROGRAM

Część pierwsza

11.00–11.10: Otwarcie konferencji

11.10–11.30: Elementy wsparcia i edukacji pacjentów w Narodowym Programie Zwalczania Chorób Nowotworowych
dr n. med. Piotr Popowski

11.30–11.50: Nowe możliwości leczenia chorób onkologicznych
dr n. med. Kamil Drucis

11.50–12.10: Jak radzić sobie z działaniami ubocznym chemio-, radio- i hormonoterapii?
dr n. med. Anna Kowalczyk

12.10–12.30: Znaczenie wsparcia psychologicznego w walce z chorobą
prof. n. med. Krystyna de Walden-Gałuszko

12.30–12.50: Przerwa na kawę

12.50–13.10: Rola diety, ćwiczeń fizycznych, zdrowego stylu życia w procesie zdrowienia osób dotkniętych chorobą nowotworową
Maria Fall-Ławryniuk

13.10–13.20: Jak poradziłam sobie z rakiem?
Danuta Stopieńska

13.30–13.50: Wsparcie osób dotkniętych chorobą nowotworową w ramach Akademii Walki z Rakiem, prezentacja płyty wspierającej proces zdrowienia i redukcję stresu
Danuta Stopieńska

13.50–14.10: Przerwa na kawę

Część druga

14.10–16.00: Spotkania indywidualne z psychologiem, lekarzem onkologiem, dietetykiem, fizjoterapeutą.

Podczas konferencji czynne będą stoiska z książkami o tematyce prozdrowotnej oraz materiałami informacyjnymi

Fundacja Hospicyjna i Fundacja Lubię Pomagać zapraszają do subskrypcji newslettera, w którym znaleźć można informacje na temat działań podejmowanych przez obie fundacje, szkoleń i konferencji paliatywno-hospicyjnych, propozycje najciekawszych publikacji oraz artykuły poruszające aspekty opieki u kresu życia.

Aby otrzymywać newsletter, należy wpisać odpowiednie dane do formularza, znajdującego się na stronie: www.hospicja.pl.

Przewlekle chore dziecko w domu

PIERWSZY W POLSCE PORADNIK DLA RODZINY I OPIEKUNÓW

W książce zawarte są zagadnienia dotyczące:

- walki z objawami choroby w opiece domowej
- pielęgnacji chorego dziecka
- opieki duchowo-religijnej
- wsparcia społecznego i pomocy socjalnej dla przewlekle chorego dziecka i jego bliskich

Cena książki z płytą 69 zł brutto

- Istnieje możliwość uzyskania rabatu – szczegóły: tel. 58 343 80 92
- UWAGA! Specjalna cena dla rodziców i opiekunów przewlekle chorych dzieci posiadających orzeczenie o niepełnosprawności dziecka informacje: tel. 58 343 80 92, e-mail: o.wozniak@lubiepomagac.pl

FUNDACJA HOSPICYJNA
Hospicjum to też Życie

Książka z płytą do nabycia:

- w siedzibie Fundacji Hospicyjnej, ul. Chodowieckiego 10, Gdańsk
- w sklepie Fundacji Hospicyjnej na stronie **www.fundacjahospicyjna.pl**
- w księgarni „Lubię Pomagać" na stronie **www.lubiepomagac.eu**

Fundacja Hospicyjna zaprasza na koncert charytatywny

Głosy dla Hospicjów

13 października 2012 r. o godz. 19.00
w Filharmonii Bałtyckiej, ul. Ołowianka 1

Justyna Steczkowska z programem **Alkimja**

W pierwszej części koncertu wystąpi Kassak Brass Ensemble.
Bilety dostępne w kasach Filharmonii, salonach Empik, na bilety24.pl i ticketpro.pl

Dochód z koncertu zostanie przekazany na rzecz
Hospicjum im. Ks. E. Dutkiewicza SAC w Gdańsku
Więcej informacji na www.fundacjahospicyjna.pl

Hospicjum im. Ks. E. Dutkiewicza SAC w Gdańsku

FUNDACJA HOSPICYJNA
Hospicjum to też Życie

PARTNERZY HONOROWI
Marszałek Województwa Pomorskiego
Business Centre Club Loża Gdańska
Patronat Honorowy Prezydent Miasta Gdańska

PARTNERZY
empik.com
TICKETPRO www.ticketpro.pl

SPONSORZY
Energa
SNG
Wieniawa
Hotel Astoria
Hotel Królewski
Grafito

PARTNERZY MEDIALNI
Dziennik Bałtycki
Radio Gdańsk
pomorska.TV
trojmiasto.pl
prestiż